

KRÓL HENRYK IV.

Część druga.

Przekład

P. JANKOWSKIEGO.

Król Henryk IV. Część druga - całość

William Shakespeare



Księgarnia Polska, Lwów, 1895

Pobrano z Wikiźródła dnia 17 kwietnia 2024

KRÓL HENRYK IV.

Część druga.

PRZEKŁAD

P. JANKOWSKIEGO.

O S O B Y .

KRÓL HENRYK IV.

HENRYK, książę Walii — potem król HENRYK
TOMASZ, książę Klarencyi.

JAN, książę Lankaster.

HUMFRY, książę Gloster.

Hrabia WARWIK

Hrabia WESTMORLAND

GOWER

HARKUR

} stronnicy króla.

Lord sędzia.

Jeden z przybocznych urzędników sedziego.

Hrabia NORTUMBERLAND związkowi.

SKRLTP, arcybiskup Yorku

Lord MOWBRAY

Lord HASTINGS

Lord BARDOLF

Sir DŻON KOLWIL



TRAVERS i MORTON, domownicy Nortumberlanda.

FALSTAF.

BARDOLF.

PISTOL.

Giermek.

POINS

PETO



z orszaku księcia Henryka.

PŁYTEK

MILCZEK



sędziowie pokoju.

DAWID, służący Płytki.

BUTWIAK

CIEŃ

BRODAWKA

SŁABIAK

CIELAK

KRUCZEK



popisowi.

z orszaku szeryfa.

SIDEŁKO }

Wieść.

Odźwierny.

Tancerz występujący w epilogu.

Ledy NORTHUMBERLAND.

Ledy PERSY.

ŻWAWSKA, oberżystka.

DOROTA, Tear-sheet, (Drzej-prześcieradło).

Lordowie i inne osoby z orszaku, oficerowie, żołnierze,
posłańcy, posługaczy i t. d.

Rzecz dzieje się w Anglii.

PROLOG.

Warkwort, przed zamkiem NORTUMBERLANDA. Wchodzi WIEŚĆ, na
jej stroju dokoła odmalowane języki.

Wieść. Otwórzcie uszy! choć któż z was zamyka

Swe wrota słuchu, gdy głośna Wieść idzie?

Ja to od wschodu na padół zachodu,

Pędząc na wietrze, ciągle rozpowiadam

Rzeczy zdarzone na tej ziemskiej kuli.

Na mych językach bieżące zgorszenie

Tłumaczę ludziom na wszystkie narzecza

I najdziwniejsze ogłaszam nowiny.
Mówię im pokój, gdy skryta nienawiść
Z wdzięcznym uśmiechem dręczy świat i szarpie.
I któż znów inny, prócz mnie bystrej wieści.
Zgromadza wojska zaczepne, odporne,
Gdy rok ciężarny innemi klęskami,
Zdaje się jeszcze tyranowi wojny
Chcieć powić synów? Wieść jest to piszczalka,
W którą dmą: domysł, zazdrość, podejrzenie.
A tak jest łatwą i do gry podatną,
Że nawet głupi, wielogłowy potwór
Wiecznie niezgodny z sobą, chwiejny motłoch
Może grać na niej. Ale po cóż znowu
W tę anatomię siebie samej wchodzę
Śród mej rodziny? Powiem raczej poco
Tu się zjawiłam? Biegnę przed zwycięstwem
Króla Henryka, wprost z pola Szrewsbury.
Gdzie młody Hotspur ze swoim wojskiem
Pochodnię buntu krwią własną zgasił.
Lecz cóż? od prawdy miałabym wam zacząć?
Wszakżem powinna rozszerzyć dokoła,
Że Henryk Monmouth padł z szlachetnej ręki
Hotspura Persy — i że przed wściekłością
Lorda Dugłasa sam król poświęconą
Głowę swą skłonił już niemal do grobu!
Takie pogłoski rozsiałam też wszędy,
Po wiejskich chatkach od błonia Szrewsbury.
Aż do zamczyska porośłego mchami,
W którym Hotspura ojciec Nortumberland

Z wprawą starości, udaje chorego.
Wciąż przebiegają zadyszani gońce
Z jedną po drugiej moją wiadomością,
Zrywając kłamstwa wprost z języków Wieści
Miłe a gorsze niż prawda w swej treści.

(Wychodzi).



AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA

WARKWORT przed zamkiem NORTUMBERLANDA. Odźwierny przed
bramą. Wchodzi LORD BARDOLF.

Lord Bardolf. Któż tu odźwiernym? Hola! gdzie jest
hrabia?

Odźwierny. Kogoż oznajmię?

Bardolf. Powiedz hrabiemu, że go tutaj czeka
Lord Bardolf.

Odźwierny. Jego szlachetność przechadza się teraz
Po tym ogrodzie. Pan niech tylko raczy
Zapukać w drzwiczki, a hrabia odpowie.

(Wchodzi Nortumberland).

Bardolf. Otoż i hrabia!

Northumberland. Jakież nowiny? mój kochany

lordzie!

Każda nam teraz chwila matką dziwu!
Cóż bo za czasy! niezgoda jak rumak,
Gdy zerwie przywieź od pełnego żłobu,
Leci na oślep i wszystko tratuje.

Bardolf. Szlachetny hrabio! przynoszę ci wieści
Pewne z Shrewsbury.

Northumberland. I dałby Bóg, dobre?

Bardolf. Dobre, jak tylko serce pragnąć może.
Król z ręki syna waszego milordzie
Śmiertelnie ranion, Monmuth legł na miejscu,
Bluntów obudwu pozabijał Duglas.
Młody Lankaster, Westmoreland, Staford
Uciekli z pola. A ten wieprz Monmutha
Wypasły Sir Dżon, jeńcem twego syna.
Nigdy dzień jeszcze walki tak stanowczej
I tak zwycięskiej nie uświetnił szczęścia
Od czasów Cezara.

Nortumberland. Wszystkie te wieści skądżeś powziął
hrabio?

Czyś był na miejscu i wracasz z Szrewsbury?

Bardolf. Mówiłem, lordzie, z szlachetnym
Dżentlmenem,

Co stamtąd wracał, i wprzód nim spytałem
Sam mi wypadki opowiedział bitwy.

Nortumberland. Lecz otoż w raca mój domownik
Travers,

Od wtorku jeszcze wysłany na zwiady.

Bardolf. Jam go wyminął. Nie wie on, milordzie,
O niczem więcej, prócz co ma odemnie.

(Wchodzi Travers).

Nortumberland. I cóż? Trawersie! coś przyniósł
dobrego?

Trawers. Sir Dżon Umfrevil spotkał mię i zwrócił
Z dobrani wieściami: lecz swym świeższym koniem
Wyprzedził wkrótce. Potem Dżentlemen jakiś
W największym pędzie porównał się ze mną,
Dał wytchnąć chwilę rannemu koniowi
I pytał drogi do Chester a wzajem,
Kiedym go spytał o wieści z Szrewsbury,
Odrzekł mi tylko, że się źle powiodło
Sprawie związkowych i ostroga Persy
Ostygła całkiem, poczem puścił cugle,
Schylił się przez pół, zakrwawił ostrogi
W swym dzielnym koniu i głuchy już dla mnie
Tak wnet popędził, że zdał się przed sobą
Pożerać drogę.

Nortumberland. Ha! powtórz! mówił: że ostroga
Persy

Ostygła całkiem! że się źle powiodło
Sprawie związkowych! Hotspur był bez ognia!

Bardolf. Milordzie! jedno to tylko ci powiem:
Że gdy dnia chwała nie przy waszym synie,
To pod honorem, baronię moją
Stawię i oddam za motek jedwabiu!

Nortumberland. Czemużby Dzentelmen, co jechał z Traversem

Miał mu tak pewnie mówić o porażce?

Bardolf. Kto? on? ten jeździec,, co na cudzym koniu

Uciekał, ręczę, i co przyszło, prawił!

Lecz otóż nowe przybyły nam wieści!

(Wchodzi Morton).

Nortumberland. O z tego czoła, jak z najpierwszej karty

Widać, że całej książki treść żałobna!

Tak brzeg wygląda, kiedy na nim powódź

Zostawi straszny ślad opustoszenia!

Powiedz, Mortonie, przybywasz z Szrewsbury?

Morton. Stamtąd uciekam, szlachetny mój panie!

Tam śmierć ohydna najstraszliwszą maskę,

By rzucić popłoch na naszych, przywdziała!

Nortumberland. Jakże się mają syn mój? brat Worcester?

Drżysz na te słowa! Bładość twego lica

Skorsza niż usta i smutnie wymowna!

Takim był pewnie ten bez ducha goniec

Ze śmiercią w oczach, straszny, osłupiały,

Co pośród nocy odsunął zasłonę

Z łoża Pryama i chciał mu powiedzieć.

Ze już połowa Troi w gruzach legła:

Lecz nim głos znalazł, już Pryam mógł widzieć

Pożogę miasta. Tak samo ja widzę

Śmierć mego Persy, nim mi ją oznajmisz!

Wszak masz mówić: „Syn wasz to i to zrobił,
Brat wasz to zrobił! tak szlachetny Douglas
Walczył i gromił!“ — i słuch mój wstrzymując
Na każdym pięknym i świetnym ich czynie,
W końcu nędznego ugodzisz słuchacza
Jednem westchnieniem, od którego wszystkie
Znikną pochwały, gdy skończysz słowami:
„Syn twój i brat twój i wszyscy polegli!“

Morton. Douglas przy życiu, brat wasz, panie, także:
Lecz co do Lorda Henryka...

Nortumberland. A więc nie żyje!
Otóż jak bystra mowa podejrzenia!
Czego się lękasz i nie chciałbyś wiedzieć,
Jużeś instynktem odgadł z cudzych oczu,
Że się spełniło! — Mów jednak, Mortonie!
Mów twemu panu, że skłamał przeczuciem!
A ja to przyjmę za słodką obelgę,
Wzbogacę ciebie za taką zniewagą!

Morton. Zbyt jesteś wielkim, bym ci przeczył panie.
I w twych przeczuciach i w obawach, prawda!

Nortumberland. Wszystko to jeszcze nie mówi, że
syna

Już nie zobaczę! — Ale wstrząsasz głową,
I chociaż jawne wyznanie w twych oczach,
Zdaje się lękasz zgrzeszyć mówiąc prawdę.
Jeśli on poległ, mów! Wszak nie ma winy
Zgon czyj oznajmić; grzech kłamać o śmierci,
Nie zaś objawić, że zmarły nie żyje!

Morton. Pierwszy, kto staje z nieszczęśliwą wieścią

Smutny posługacz. Odtąd jego słowa
Dźwięk przybierają pogrzebnego dzwonu,
I brzmią już zawsze przy wspomnieniu straty.

Bardolf. Nie mogę wierzyć, by syn wasz, milordzie,.
Miał poledz w bitwie.

Morton. Jakże boleśnie, że muszę upewniać

O tem, co bodaj widzieć mi nie przyszło!
Lecz na te oczy, widziałem go we krwi
Rannym, bezsilnym, jak omdlałą dłonią
Odbijał ciosy Henryka Monmutha,
I jak padł wreszcie nasz niewyciężony
I już nie powstał!

W chwili, zgon wodza — co duszą i męstwem
Nawet bezmyślnych zapalał wieśniaków —
Rozniosły wieści, i zgasła odwaga,
Którą duch jego tak ożywiał wojsko,
Jak się od stali hartuje żelazo.

Gdy ten hart ustał, wszystko się stępiło.

Została tylko bryła z swym ciężarem

Co leci chyżej, im silniej trącony.

Tak nasi ludzie po stracie Hotspura,

Byli już tylko liczbą i ciężarem

Pędzonym trwogą, i pobiegli z pola

Z chyżością strzały. Wtedy lord Worcester

Był wzięty jeńcem, a straszliwy Duglas,

Co swoim krwawym, niestrudzonym mieczem

Trzykroć zabijał podobieństwo króla,

Zachwiał się duchem i uczcił sromotę

Uciekających. Ale gdy się cofał,

Potknął się, upadł i musiał się poddać.
Słowem, król wygrał i szle tu najspieszniej
Oddział pod wodzą lorda Westmoreland
I księcia Jana, przeciw tobie, panie.

Nortumberland. Płakać mej straty dość będę miał
czasu!

I jad lekarstwem! Tak i to nieszczęście,
Gdybym był zdrowym, wzięłoby mi zdrowie,
Ale chorego uleczyło prawie.
Bo jak kto długą trawiony gorączką.
Choć ledwie dźwiga smutny życia ciężar,
Pod którym nerwy jak jakie zużyte
Gną się zawiasy, przecież w paroksyzmie
By ogień z rąk się wymyka swych stróżów —
Tak i me członki niemocą pożyte
W tym srogim bólu nabierają siły
Nowej, trzykrotnej, nigdy mi nieznanej.
Precz-że natychmiast z niedołączną kulą!
Niech rękawica ze stalowej łuszczyki
Zbroi tę rękę! precz mi i z tą miękką
Czapką dla chorych, bo puch nie zasłoni
Głowy, na którą czyhają książęta
Silni zwycięstwem! Włóżcie mi na skronie
Twardą przyłbicę! I niechaj nadchodzi
Godzina zgrozy, jaką śmie wywołać
Mściwa nienawiść, niech grozi rozpacz
Nortumberlanda! Niech niebo i ziemia
Zewrą się z sobą! Ręka przyrodzenia
Niech nie podoła wstrzymać wód wściekłości!

Niechaj porządek zaginie na ziemi!
Niech ona odtąd przestanie być nudnym
Teatrem niezgód i powolnych podejść:
Lecz niechaj w serca duch pierworodnego
Wstąpi Kaina! niechaj we krwi ludzkiej
Uczują wszyscy — a po końcu uczty
Czci pogrzebowej dopełnią ciemności!

Travers. To uniesienie zaszkodzi ci panie!

Bartlof. Kochany hrabio! na twojej mądrości
Polega wszystko.

Morton. Losy związkowych, tak oddanych sercem
Twojej sprawie, panie, łączą się z twym zdrowiem.
A czyż nie zniszczą go podobne chwile?
Widziałeś panie możliwości wojny,
I do gry losu, nim zebrałeś wojsko,
Stałeś gotowym. Jak wódz i jak ojciec
Myślałeś o tem, że w podziale ciosów
Twój Henryk, panie, nie dałby się ubiec.
Że miał on stąpać po niebezpieczeństwach
Jak nad przepaścią, gdzie cud przewodnikiem.
Wiedziałeś pewnie, że bliznom i ranom
Ciało Hotspura dostępne jak inne,
I bardziej nawet, bo któż nadeń pierwszym
Bywał do boju i ostatnim z boju?
Przecież mu rzekłeś: „idź“! tak niecofnięte,
Jak sam twój zamysł był już nieodmiennym.
Cóż się więc stało, coby nazwać można
Wypadkiem dziwnym, nad możność i wiarę.
Nie zaś następstwem twego planu, panie?

Bardolf. Wszyscyśmy, których dotknęła ta strata.
Wiedzieli dobrze, że się narażamy
Na morze, w chwili gdy ocalić życie
Zaledwie jeden będzie mógł z dziesięciu.
Wszakże wzgląd żaden wstrzymać nas nie zdołał
Od tej żeglugi. Poniósłszy rozbicie
Doświadczmy jeszcze. Przyjmij ster milordzie!
My życie, mienie, wszystko poświęcimy.

Morton. ' Właśnie też pora ponieść tę ofiarę.
Gdyż mi wiadomo, w najpewniejszy sposób,
Że nasz czcigodny arcybiskup Yorku,
Wywiódł już w pole swe ćwiczone hufce,
Na których można polegać z ufnością,
I liczyć dwakroć. Bo wasz syn, milordzie,
Miał tylko ciała i cienie żołnierzy,
Dusz w nich nie było: nazwa buntowników
Już je odjęła. Szli oni do walki
Z tak dobrą wolą, jak piją lekarstwo,
I choć trzymali oręż z naszej strony,
To dla pozoru, gdyż ich serca, dusze
Wyraz „bunt“ zmroził, jak ryby w sadzawce.
Lecz pod biskupem powstanie przybrało
Treść religijną, miany za świętego
Ma on za sobą i ciała i dusze.
Woła do broni w imię krwi Ryszarda
Nie zmytej dotąd z kamieni Pomfretu,
I na powadze wspierając się nieba
Głosi, że idzie krwią oblaną ziemię
Zbawić z pod ciężkiej ręki Bolinbroka:

Wszyscy więc za nim, i wielcy i mali.
Nortumberland. Jużem to wiedział, lecz wyznam, że
boleść

Nawet mi władzę odjęła pamięci.
Wejdźmy do środka. Niech każdy z was powie,
Co bezpieczniejszem i najlepszem sądzi
W obecnej chwili. Rozeszlijmy gońców,
Niech nam pospieszą w pomoc przyjaciele.
Tyłu nam trzeba, a tak ich niewiele!

(Wychodzą).

SCENA DRUGA.

Jedna z ulic Londynu.

Wchodzi sir DŻON FALSTAF, w towarzystwie giermka, który niesie za
nim szpadę i tarczę.

Falstaf. No, mój olbrzymie, cóż tam mówił doktor
na moją wodę?

Giermek. Mówił, że ona sama z siebie jest czysta i
zdrowa, ale że ta osoba, do której ona należy, więcej
ma chorób, niżeli sobie o tem myśli.

Falstaf. Nakoniec wszystko co żyje, zaczyna sobie
polować ze mnie. Mózg tej dla żartu skleconej gliny,
która się tytułuje człowiekiem, nie może nic więcej
wynaleść pobudzającego do śmiechu, nad to, com ja
wynałazł, lub co o mnie wynaleziono. Na honor, żem
nie tylko sam dowcipny, ale muszę być jeszcze i
przyczyną dowcipu drugich. To wybornie! Jeśli wiodąc

cię teraz za sobą nie podobny jestem do maciory, która cały swój płód przyległa i prowadzi za sobą jedną jednego kwiczoła, i jeżeli książę w innym celu dał mi cię na usługi, jak tylko dla kontrastu, to nie mam już ani kropli rozsądku. Milion set! ty pozioma mandragoro! tybyś lepiej odbijał na mojej czapce, od gałązki, niżli mój giermek. Nigdy jeszcze taki gagacik nie był mym sługą, ale ja cię nie myślę oprawiać ani w złoto ani w srebro, spowiję cię w łachmany, i odeszlę napowrót klejnot jubilerowi, twojemu przeszłemu panu, którego książęcy podbródek dotąd jeszcze nie porósł ani puchem. I nie porośnie nigdy; prędzej ja będę miał brodę na moich dłoniach — A jednak ten młokos, na którego szczękach żaden balwierz nie zapracuje sobie nigdy ani sześciu pensów, śmie utrzymywać, że ma twarz królewską i czupurzy się, — jak gdyby pochodził z tych czasów, kiedy jego ojciec był jeszcze żakiem. Niech on tam zachowa dla siebie swoją najjaśniejszą łaskę, bo że już z mojej, tak dobrze jak wypadł, za to mogę zaręczyć. Ale cóż tam mówi mistrz Durnbleton na atłas, o który go prosiłem na pled i spodnie?

Giermek. Kazał powiedzieć panu, że potrzeba mu lepszej poręki, niżeli poręka Bardolfa, że nie przyjmie ani pańskiego rewersu ani rewersu Bardolfa. że na takie zabezpieczenia on nie patrzy.

Falstaf. A niech go piekło porwie tego nieużytego bogacza, niech mu język przyschnie do krtani, a Łazarz niech tymczasem zasypia na łonie Abrahama!

przeklęty Achitopel, nędznik, wisielec, przetrzymać tak długo dżentelmena w zawieszeniu, i prawić mu potem o porękach. Te łysogłowe łotry nie robią teraz nic więcej, tylko noszą trzewiki na wysokich korkach i po sporej wiązce kluczków u pasa, a gdy potrzeba coś dać „na maszu ludziom uczciwym, zaraz ci występują z porękami. Zamknąć komuś usta w ten sposób jest to toż samo, jak gdyby ten łotr poczęstował mię gałkami na szczury. Jam myślał, że on mi przysłał dwadzieścia dwa łokcie atłasu, tak na honor, jakem prawy rycerz, tak sobie myślałem, aż on mi wyjeżdża z zabezpieczeniami! Oo do niego, może spać sobie najdoskonalej zabezpieczony, bo ma na głowie rogi obfitości, przez które się prześwieca zalotność jego żony. A jednak pomimo tej rogowej latarni, on tylko jeden nie widzi, skąd pochodzi światło. Gdzież jest Bardolf?

Giermek. W Smittbfield, kupuje teraz konia dla waszej dostojności.

Falstaf. Jam go samego kupił w Saint-Paul, a on mi teraz chce kupić konia w Smithfield! A więc potrzebaby mi tylko jakiegokolwiek nierządnicy w Londynie a byłbym w całym znaczeniu usłużonym, żonatym i jeźdźcem.

(Nadchodzi lord sędzia. a za nim jeden z woźnych).

Giermek. Panie, idzie tu lord, który uwięził księcia, za to, że ten go uderzył, ujmując się za Bardolfem.

Falstaf. Idź za mną i nie patrz w tę stronę, ja go nie chcę widzieć.

Lord sędzia. Któż to tam idzie?

Woźny. Falstaf, Wasza wysokość.

Lord sędzia. Ten, który był pod śledztwem za kradzież?

Woźny. Ten sam, panie, ale potem odznaczył się pod Szrewsbury, i jak słyszałem, ma teraz być wysłanym z jakimś poleceniem do księcia Jana Lankaster.

Lord sędzia. Jakto, do Yorku? przywołaj go tu!

Woźny. Sir Dżonie Falstafie!

Falstaf. Powiedz mu, chłopcze, że ja głuchy.

Giermek. Mówcie głośniej. Mój pan głuchy.

Lord sędzia. O wńerzę temu, że on jest głuchym na wszystko, co mu można powiedzieć dobrego. Ale idź, pociągnij go za połę, muszę z nim mówić.

Woźny. Sir Dżonie!

Falstaf. Cóż to? młody i żebrak? Czyliż nie mamy wojny? Czyliż już nie ma rzemiosła? Alboż to król nie potrzebuje poddanych? a powstańcy żołnierzy? Wprawdzie hańbą jest być gdzieindziej, niżeli na jednej stronie z dwojga, ale zawsze gorszą jest hańbą żebrać, niż być na najgorszej stronie, chociażby cośkolwiek sto razy gorzej brzmieć mogło, niż brzmi imię powstania.

Woźny. Pan się mylisz co do mnie.

Falstaf. Albożem cię nazwał mój panie, człowiekiem pocziwym? Pomimo względów, jakie się

należą mojemu rycerskiemu i żołnierskiemu powołaniu, skłamałbym na głowę, jeślibym tak powiedział.

Woźny. A więc dozwól pan odłożyć na stronę względy należne jego rycerskiemu i żołnierskiemu powołaniu, i powiedzieć sobie, że kłamiesz na głowę, jeżeli mię nazywasz kim innym, a nie człowiekiem uczciwym.

Falstaf. Ja miałbym ci dozwolić, abys mi to powiedział? Jabym miał odłożyć na stronę to, co odemnie nieoddzielne? Powieś mnie, jeżeli kiedy otrzymasz na to moje pozwolenie i raczej sam się powieś, niżelibys miał przyjąć to pozwolenie. Precz mi z drogi, ty niżniku!

Woźny. Milord chce z nim mówić.

Lord sędzia. Sir Dżonie Falstafie! mam mu powiedzieć dwa słowa.

Falstaf. Ach! — Szlachetny lordzie! niech Bóg ma w swojej opiece waszą dostojność! Jakże rad jestem, że go widzę wychodzącego. Słyszałem, że zacny lord był obłożnie chorym, i spodziewam się, że terażniejsze wyjście nie jest bez pozwolenia lekarza. Chociaż wasza dostojność nie wychodzi jeszcze zupełnie z pory młodości, zawsze jednak ma już pewny przedsmak wieku, pewną przyprawę czasu, niech mi więc będzie wolno prosić waszej dostojności o należyty wzgląd i troskliwość o swoje zdrowie.

Lord sędzia. Sir Dżonie! posyłałem po niego przed wyprawą do Szrewsbury.

Falstaf. Za pozwoleniem waszej dostojności, dało mi się słyszeć, że Jego królewska mość powrócił z Walii nie w zupełnie pożądanym stanie.

Lord sędzia. Nie mówię tu o Jego królewskiej mości. Wyście nie raczyli przyjść, gdym po was posyłał.

Falstaf. Słyszałem, prócz tego, że do Najjaśniejszego Pana przyplątała się — znowu ta niecnota apopleksya.

Lord sędzia. Tak, niech go niebo ocali. Lecz proszę mi dać mówić.

Falstaf. Ta apopleksya, podług mego rozumienia, jest rodakiem letargu, mówiąc winnem uszanowaniem waszej dostojności, pewnym rodzajem uśpienia we krwi, niepoczciwym dzwonieniem w uszach.

Lord sędzia. Co mi o tem teraz mówicie? niech będzie, co chce.

Falstaf. Pochodzi to ze zbytku zgryzot, rozmyślań i utrudzenia mózgu, o przyczynie tych skutków czytałem w Galenie, jest to rodzaj głuchoty.

Lord sędzia. Zda mi się, że podlegacie także temu cierpieniu, kiedy nie raczyce słyszeć co mu mówię.

Falstaf. O tak milordzie, w rzeczy samej, albo raczej, jeżeli się tak podoba waszej dostojności, cierpienie, któremu podlegam, jest to choroba nie słyszenia. słabość nie zwracania uwagi.

Lord sędzia. Chłosta od piąt możeby mogła przywrócić uwagę waszym uszom i nie zatrudni mię wybór tego środka, jeśli mi przyjdzie zostać waszym

lekarzem.

Falstaf. Jam biedny, jak Job milordzie, ale nie tyle cierpliwy. Wasza dostojność może mi przepisać truneczek więzienia, co się tyczy mojego ubóstwa: lecz czyli ja będę do tyła cierpliwym, abym poszedł za tym przepisem, w tej mierze mędracy mogliby przypuścić gran skrupułu, a nawet cały skrupułu.

Lord sędzia. Posyłałem po niego dla pomówienia o rzeczach, od których zależało jego życie.

Falstaf. A ja idąc za radą jednego nader biegłego prawoznawcy, nie stawiałem się na wezwanie.

Lord sędzia. Tak, zawsze jednak jest prawdą sir Dżonie, że żyjesz w wielkiej niesławie.

Falstaf. Każdy, komu tylko mój pas może służyć, nie potrafi żyć w mniejszej.

Lord sędzia. Wasze środki są szczupłe, a życie na wielką stopę.

Falstaf. Przeciwnie: we środku mam się ogromnie, ale co nogi, to za słabe do dźwigania takiego ciężaru.

Lord sędzia. Sprowadziłeś z dobrej drogi młodego księcia.

Falstaf. Owszem, on to mnie sprowadził z drogi. Jam gruby Nemrod, a on mój ogar.

Lord sędzia. Dajmy na to, że tak jest: nie będę odświeżał niedawno zagojonej rany. Wasza usługa pod Szrewsbury zagląda poniekąd wyprawę nocną pod Gadshill. I winieneś podziękować obecnym niepokojom, że zostawiono w spokoju podobne bezprawie.

Falstaf. Milordzie.

Lord sędzia. Kiedy się raz to zatarło, niechże się i kończy na tem: nie wywołuj wilka z lasu.

Falstaf. Wywoływać wilka jest równie źle, jak i trącić lisem.

Lord sędzia. Nie zapomnij sir Dżonie, że możesz być porównanym do świecy, której najlepsza część coraz się ulatnia.

Falstaf. Tak jest, dostojny panie, święta prawda, podobny jestem do ogromnej łojowej świecy; chociaż równie dobrze dałbym się porównać i do świecy woskowej, która paląc się do koła narasta.

Lord sędzia. Każdy biały włos waszej brody, sir Dżonie, powinienby wam przypominać powagę.

Falstaf. Wagę, wagę, wagę.

Lord sędzia. Wy, jak zły anioł, nie odstępujecie od naszego młodego księcia, we wszystkich jego krokach.

Falstaf. Nie, nie tak trochę, dostojny panie, zły anioł jest za lekki na wagę, gdy tymczasem mnie przyjąłby każdy, nie rzucając na szalę i od pierwszego spojrzenia; zresztą, tak jest, w pewny sposób nie zdałbym się do obiegu. Rzeczywista wartość i cnota w terażniejszym liczebnym wieku, tak mało na siebie zwracają uwagi, że prawdziwe męstwo i odwaga zostały obróconemi do wodzenia niedźwiedzią dowcip tuła się po szynkowniach i całą swą bystrość rozprasza na karteczki, a wszystkie inne dary uzacniające człowieka nie lepsze są w terażniejszym stanie, do jakiego je złośliwość wieku przywiodła, od czarnych porzeczek.

Wam, moi panowie, którzyście już starzy i przez myśl nie przechodzi, do czego młodość jest zdolną. O zbytku ożywiającego nas ciepła wy sądzicie podług goryczy swojej żółci, a my też na skrzydłach młodości niekiedy zadaleko zalatujemy.

Lord sędzia. Więc wy sir Dżonie kładziecie siebie na liście młodości, wy, na których tak czytelnie napisał czas swoje ulubione słowo: „starość“. To oko wieczną łąką zalśnione, ta sucha ręka, żółta cera, biała broda, codzień cieniejąca noga i codzień przybywający żołądek, głos drżący, oddech krótki, podbródek rozdwojony i z tem wszystkim coraz ostrzejszy, dowcip codzień tępszy, jednym słowem wszystko, co jest w was i co was otacza, nie przypominają wam zniszczenia czasu? I wy jeszcze chcecie uchodzić za młodzika? Wstydz się, wstydz sir Dżonie!

Falstaf. Milordzie! Jam się urodził o trzeciej godzinie z południa, z zupełnie białą głową i z żołądkiem już zaokrąglonym. Co się tycze mojego głosu, straciłem go krzycząc na żołnierzy i śpiewając antyfony. Innych dowodów za moją młodością przytaczać nie będę: koniec końcem że mogę się nazwać starym tylko pod względem rozwagi i rozsądku. Jeśliby zaś podobało się komu iść ze mną o lepsze: kto da wyższego susa, w zakład o tysiąc marek, ten może mi z góry zapłacić stawkę i wyprzeć się popisu. Co się tycze policzka, danego waszej dostojności przez księcia, to ten ze strony księcia danym był po grubiańsku, lecz wyście go przyjęli jak

lord pełen rozsądku. W swoim czasie natarłem za to porządnie księciu uszy, i młody lew pokutuje teraz za swoje; wprawdzie nie w popiele i włosiennicy, lecz w gorzkich gronach winnicy!

Lord sędzia. Oby mu niebo zesłało lepszego towarzysza.

Falstaf. A jego towarzyszowi lepszego księcia. Bo ja nie mogę od niego się odżegnać.

Lord sędzia. Najjaśniejszy pan raczył obmyślić dla nich pożegnanie. Słyszałem, że król was wysłał z księciem Janem Lankaster przeciwko arcybiskupowi i hrabi Nortumberland.

Falstaf. Tak, dzięki słodziutkiej i zawsze gotowej wyobraźni waszej dostojności. Ale pomyślcie o modlitwie, w której się tylko umizgacie do swojej omdlałej i wiecznie uśmiechającej się ciszy domowej, ażeby dwa wojska nieprzyjazne nie zeszyły się z sobą w dzień gorący; bo na mój honor, że nie biorę z sobą więcej nad parę koszul i nie myślę potnieć nadzwyczajnie. Jeśli więc zdarzy się upał w dzień bitwy, Dżon Falstaf ma przedewszystkiem obowiązek bronięcia się od suchej śmierci, i będzie musiał wywijać tylko butelkę. Ze też zaledwie jakie niebezpieczeństwo wynurzy głowę, jużem na placu: przecież nie zawsze mnie mieć będą, i jam śmiertelny! Ale to już jest nieuleczona przywara Anglików, że jeśli mają coś dobrego, to potrzeba, czy nie, szarżają się niem wszędzie. Jeśli więc koniecznie tak wam się podoba milordzie, wenerować mię starym, to raczcież

mię przynajmniej zostawić w pokoju. Dałby Bóg, ażeby moje imię, mniej niż jest, było strasznie nieprzyjacielowi! Wolałbym tysiąc razy, ażeby mnie rdza przejadła aż do szpiku, niż co mam stopnieć i w nic się obrócić od tego ustawicznego ruchu.

Lord sędzia. Bądź dobrym, prawym, sir Dżonie i Bóg pobłogosławi waszą wyprawę.

Falstaf. A wy, milordzie, raczycie mi pożyczyć tysiączek gwineów na potrzeby wojenne?

Lord sędzia. Ani feniga, ani feniga. Zbyt jesteś niecierpliwym sir Dżonie do noszenia krzyżów. Bądź zdrow sir Dżonie i pozdrów odemnie mojego krewnego Westmorlanda.

(Lord sędzia z woźnym wychodzą).

Falstaf. Dajcie mi szcztuka kowalskim młotem, jeśli ja mu zaniosę to pozdrowienie. Nie, nie podobna człowiekowi oddzielić starości od skąpstwa, tak jak młodemu nie podobna oddzielić rozpusty od młodości. Ale jednego z nich bierze za to w swe szczepce podagra, a drugiego słodka medycyna; nie pozostaje mi więc nic do życzenia obu tym ułomnościom. Chłopcze!

Giermek. Jestem.

Falstaf. Ile tam jeszcze pieniędzy w moim worku?
Giermek. Sześć groszy i dwa pensy.

Falstaf. Nie ma sposobu przeciw tej samotrawności worka: pożyczka odwleka tylko chorobę, ale złe w sobie pozostaje nieuleczone. Na, zanieś ten list do

lorda Lankaster, ten do księcia, ten do hrabiego Westmorland, a ten do mojej starej Mistriss Urszuli, której przysięgam co tydzień, od czasu jakem dostrzegł pierwszych białych włosów w mej brodzie, że się z nią ożenię. Z odpowiedzią wiesz, gdzie mnie masz szukać.

(Giermek wychodzi).

Podagra na tę chorobę, którą we Francyi nazywają neapolitańską, a w Neapolu francuską! i nawzajem francusko-neapolitańska choroba na tę podarge! bo już też koniecznie jedna z tych psotnic musi sobie wycinać tany na moich biednych piszczelach. Ale mniejsza o to, że sobie nieco przychramujemy: czyliż nie mamy za sobą pozoru wojny? Moja wojskową emerytura przynajmniej niczych kosych oczu ściągać na siebie nie będzie. Prawdziwy dowcip umie skorzystać ze wszystkiego: nawet ze słabości.

SCENA TRZECIA.

York. Pokój w pałacu arcybiskupa.

Wchodzą ARCYBISKUP YORKU, lordowie: HASTINGS, MOWBRAY
i BARDOLF.

Arcybiskup. Wiecie już teraz, zacni przyjaciele.

Wszystkie pobudki i sposoby nasze;

Mówcież otwarcie — a naprzód was proszę

Lordzie marszałku — co tuszyć możemy?

Mowbray. Ze jąć się broni wypada i trzeba,
Na to się zgadzam, lecz radbym dokładniej.
Wiedzia! jak mozem z naszymi siłami
Choć z jakim kolwiek powodzeniem stawić
Czoło królowi?

Hastings. Podług przeglądu, liczym do dwudziestu
Pięciu tysięcy dobornych żołnierzy.
Prócz tego mamy w gotowym odwodzie
Potężną pomoc hrabi Nortumberland,
Któremu rozpacz i zemsta zostały.

Bardolf. Więc, lordzie Hastings, w tem tylko pytanie:
Czy te dwadzieścia pięć tysięcy wojska
Wystarczyć mogą, bez Nortumberlanda,
Do walki z królem?

Hastings. Z Nortumberlandem aż nadto wystarczą.

Bardolf. Tak, z nim zapewno. Lecz jeśli bez niego,
Nie dość silnymi sami się czujemy,
To moje zdanie, nie wychodzić w pole
Nim on nadciągnie. Bo przed taką krwawą
I walną bitwą, domysły, nadzieje
I przypuszczenia niepewnych posiłków,
W żadną rachubę wchodzić nie powinny.

Arcybiskup. Zupełna prawda. Właśnie w tym
przypadku

Młody nasz Hotspur bił się pod Szrewsbury.

Bardolf. Tak jest, milordzie. Wsparty na nadziei,
Żyjąc powietrzem obietnic i licząc
Na wielką pomoc, która przecież w skutku
Nie dorównała najmniejszej rachubie,

Stworzył on sobie marzoną potęgę
Jak obłąkany i zmrużywszy oczy
Rzucił się z wojskiem na pewną zagładę.

Hastings. Lecz mi się zdaje, że wódz nie wykracza
Kładąc nadzieje, prawdopodobieństwa,
Na szalę wojny?

Bardolf. Wykracza w wojnie takiej, jak jest nasza.

Losy powstania przyspiesza nadzieja,
Jak wczesna wiosna rozkwitnienie pączków,
Z których owocu mniej trzeba wyglądać
Niżli się lękać, by ich szron nie zwarzył.
Wszak gdy budować sobie zamierzamy,
Wprzód obmyślamy i kreślimy plany,
Potem dopiero, widząc rys budowy,
Czynimy liczbę potrzebnych wydatków;
Gdy zaś ich ogół nad możność wypada,
Cóż pozostaje? lub zmniejszyć rozmiary
Albo zupełnie wyrzec się budowli.
Daleko bardziej w obecnym zamiarze,
(Gdy jedno zwalić, drugie wznieść królestwo
Mamy przed sobą) winniśmy rozpatrzyć
Plan miejscowości i skreślone wzory,
Przyjąć już zgodnie jedną myśl budowy,
Za radą znawców, zliczyć nasze środki
I bez złudzenia zważyć wszystkie siły
Z siłami wrogów, lub w przeciwnym razie,
Będziemy mieli tylko na papierze
Rys uzbrojenia, a na miejscu ludzi
Listę ich imion Wtedy nasze dzieło

Takiż los czeka, jak dom rozpoczęty
Nad możność środków. Budowę rzuconą,
Z ciężkim nakładem dźwignioną w półowie,
Przelatujące opłaczą obłoki,
A potem wichry spustoszą zimowe.

Hastings. Dajmy, że z niskąd spodziewana pomoc —
Nam nie nadejdzie, że spełzły nadzieje
I że co mamy w tej chwili z żołnierzy,
Już to są wszyscy co do ostatniego!
To i tak jeszcze mamy równą liczbę
Wojskom królewskim.

Bardolf. Co też! Król nawet trzydziestu tysięcy
Nie miałby wojska?

Hastings. Przeciw nam, nie ma, nawet ani tyle,
Ręczę ci lordzie. Bo całe swe wojsko
Musiał na trzy rozproszyć oddziały,
W przeciwne strony. Jeden na Francuzów,
Drugi naprzeciw Owen Glendowera,
A trzeci na nas. Trzykroć więc osłabił
Sam swą potęgę, a wojenny skarbiec
Już tylko głucho wydaje mu echa.

Arcybiskup. Tak, by mógł ściągnąć swe rozpierzchłe
pułki,

I z całą na nas uderzył potęgą,
Oto bynajmniej lękać się nie mamy.

Hastings. Chybaby w pomoc chciał nam
przyprowadzić

Hufce francuskie, co z Walińczykami
Idą w ślad za nim. Lecz tej uczynności

Dla nas nie robi.

Hardolf. Któż, jak się zdaje, przeciw nam dowodzi?

Hastings. Z Westmorelandem młody Jan Lankaster,

Przeciw Owena król sam z starszym synem.

Kogo zaś wysłał przeciwko Francuzom?

Z pewnością nie wiem.

Arcybiskup. Idźmy ich spotkać, ogłaszając wszędzie

Święte pobudki, co nas uzbroiły.

Lud się już własnym przesycił wyborem

I zmierzył sobie tę nagłą swą miłość.

Bo też to nazbyt niepewne mieszkanie,

Kto się buduje na sercach motłochu.

Bydłęcy tłumie! jakiemiż to wrzaski

Wywoływałeś błogosławieństw nieba

Dla Bolinbroka, póki ci nie został

Tem, czym jest teraz, czym go mieć pragnąłeś?

A gdy życzeniom twym stało się zadość,

Zwierzmu przepaśły, tak już go masz dosyć,

Że się pobudzasz by wyrzucić z siebie.

Tak samo wprzód, żarłoczny potworze,

Wymiotłeś z paszczy najlepszego z królów.

A teraz radbyś wrócić do wymiotu

I wyjesz po n im! Ufać-że tym czasom!

Ci, co za życia Ryszarda pragnęli

Widzieć go w grobie, teraz nad tym grobem

Łzy wylewają żalu i miłości!

Ci, co na świętą głowę swego króla

Mietli kurzawę, ilekroć wzdychając

Szedł po ulicach pysznego Londynu,

Za Bolinbrokiem, podziwieniem tłumu,
Dzisiaj wołają: „ziemio oddaj króla!
A weź do siebie tego Bolinbroka!“
Ze też ta skaza w myślach ludzkich wieczna.
Przeszłość i przyszłość niebo im zamienia.
A terażniejszość nie warta wspomnienia!
Mowbray. Więc wnet dać rozkaz zwijania namiotów?
Hastings. Teraz, gdy wszystko zawisło od chwili,
Niech nie powiedzą, żeśmy ją stracili!

(Wychodzą).



AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

Wchodzą: oberżystka, SIDELKO ze służącym i wkrótce za nimi
KRUCZEK.

Oberżystka. Cóż panie Sidelko, czy ułożyłeś dla mnie prośbę?

Sidelko. Jest już ułożoną.

Oberżystka. Ale gdzież wasz pomocnik? Trzeźwili to człowiek? i czy potrafi dotrzymać kroku?

Sidelko. Hola! gdzie jest Kruczek!

Oberżystka. Tak, dalibóg, ten nieoceniony pan Kruczek.

Kruczek. Jestem, jestem.

Sidelko. Słuchaj Kruczek! potrzeba nam przytrzymać sir Dżona Falstafa.

Oberżystka. Tak, tak kochany panie Kruczek, jużem oto podała prośbę i wszystko jak się należy.

Kruczek. To może pachnąć któremukolwiek z nas życiem; on się porwie do sztyletu.

Oberżystka. A tak, dalibóg, co w tem, to bardzo z nim trzeba ostrożnie; on mnie jednego razu poranił sztyletem w moim własnym domu i to najbezpieczniej, jak tylko być może. Nie patrzy on, jakie możebyć kalectwo, a jak tylko raz dobędzie broni, to już i macha nią jak szatan, na wszystkie strony, nie uważając czy kto mężczyzna, czy kobieta, czy dziecko.

Sidelko. O już żebym go tylko raz schwytał w me rękę, to dla mnie nie straszne jego machania.

Oberżystka. I dla mnie także. Ja wam będę tuż pod ręką.

Sidelko. Żebym go tylko raz schwytał! Żeby się on raz dostał w moje paluszki.

Oberżystka. On mnie ze wszystkiem zgubi, jeżeli tak wyjedzie; jego rachunkom na mojej książce nie ma końca. Mój kochany panie Sidelko! przytrzymaj go dobrze! mój kochany panie Kruczek! nie daj mu się wymknąć! On raz wraz chodzi do Pye-Corner, za kupnem — mówiąc z przeproszeniem panów: siodła — i zawiwatowany jest dziś na obiad na lombardową

ulicę, do pana Smooth, kupca blawatów, co to mieszka pod głową „lamparta“. Proszę tedy panów, ponieważ już jak się należy rozwinęła mój „eksces“ i wszyscy o tem wiedzą, aby mi on domierzył odpowiedzialności. Sto marek oddać na poczekanie, to nie żart dla jednej, jedniuteńkiej wdowy! A przecież jam czekała, czekała, czekała, a on mnie uwodził od dnia do dnia, uwodził, uwodził, że aż wstyd bierze o tem pomyśleć. Tak nie robi nikt uczciwy! chyba już trzeba uważać kobietę za osła, za zwierzę stworzone do znoszenia krzywd od każdego chłystka.

(Wchodzą Falstaf z giermkim i Bardolf).

— Ot, otoż i on idzie i z nim ten łotr nad łotrami, ten z buraczkowym nosem wisielec Bardolf. Kochany panie Sidelko! Kochany panie Kruczek, czyńcie waszą powinność! jeżeli mnie kochacie, jeżeli mam choć cokolwiek łaski, czyńcie, czyńcie waszą powinność.

Falstaf. Czyjże tam osioł zadarł nogi, że tyle lamentu? Cóż tam znowu?

Sidelko. Sir Dżonie! mamy obowiązek zabezpieczyć waszą osobę, wskutek urzędowej prośby pani Żwawskiej.

Falstaf. Precz mi kruczkotwory! Dalej Bardolf! A zrąbać głowę temu łajdakowi! A tę księżniczkę do stawu!

Oberżystka. Mnie do stawu! Ja to, ja ciebie łotrze do stawu. Czy chcesz? czy chcesz? Zamierz się tylko!

Gwałtu! rozbój! Ty brodaty bandyto śmiesz podnieść rękę na urzędników boskich i królewskich? Ty prawdziwy bandyto rozbójniku, mężobójco, Herodzie mężczyzn i niewiast!

Falstaf. Rozpędź tę zgraję, Bardolfie!

Sidelko. Pachołków! Pachołków!

Oberżystka. Kochani sąsiedzi! Zawołajcie tu choć jednego, choć dwóch pachołków! O ty! ty kumie! ty nie chcesz? ty nie chcesz? Poczekaj-że! nie zapomnę ja ci tego, bodajeś nie minął szubienicy.

Giermek.' Pójdźcie precz chłopi, brutale wołopasy! Ja was tu tak ochłószczę różgami, że zobaczycie!

(Lord sędzia wchodzi z orszakiem).

Lord sędzia. Cóż to jest? poprzestać, mi tej wrzawy!

Oberżystka. Jaśnie Wielmożny Panie! bądź za mną! zmiłuj się, bądź za mną, za moją stroną!

Lord sędzia. Cóż to! Sir Dżonie, wszczynasz tu warchoły?

Czyż to się zgadza z twym stopniem i czasem?

Wszakżeś powinien być w drodze do Yorku?

Puść go człowieku! Czemu go wstrzymujesz?

Oberżystka. Jaśnie Wielmożny milordzie! Bez urazy waszej dostojności, jam biedna wdowa z Istczyp, a ten został zatrzymanym na moją urzędową prośbę.

Lord sędzia. Za jakąż kwotę?

Oberżystka. Nie, nie za jedną tylko psotę milordzie, ale za całą moją chudobę: on mi zjadł cały dom i gospodarstwo; cały mój majątek spakował w ten swój bezdenne żołądek. Ale ja mu wydrę z gardła mój grosz krwawo zapracowany; nie dam mu spokojnej chwili; we dnie i w nocy będę go dręczyła, hasała jak upiór.

Falstaf. Zda się, że jabym mógł stosowniej wziąć na siebie rolę upióra.

Lord sędzia. Cóż to jest sir Dżonie? Mógłżeby człowiek honorowy znieść podobną wrzawę? I nie wstyd-że mu, iż biedna wdowa zmuszona jest uciec się aż do tych ostateczności dla odzyskania swojego długu?

Falstaf. No i cóż tam za wielką sumę jam ci winien?

Oberżystka. I masz sumienie pytać mię oto Sir Dżonie! Jeżeliś człowiek uczciwy, toś mi winien siebie samego i przytem pieniądze. Alboż mi nie przysięgałeś na trąbiącego aniołka, co to jest sztychowany na moim pozłacaniu gościnnym kieliszku! Siedziałeś wtedy w Delflnowej sali, przy okrągłym stoliku, koło kominka; było to we środę przed zielonemi świątkami, na kominku się paliło, a jam ci omywała ranę na czole, którąś oberwał od księcia za to, żeś starego króla porównał do windsorskiego śpiewaka. Otoż jakem ci omywała ranę, przysięgałeś, że się ożenisz ze mną i że mię zrobisz miledy. Czyliż temu zaprzeczysz? I nie przyszedł wtedy do mnie staruszka Keech, żona naszego rzeźnika i nie mówiłaż do mnie: „moja

Żwawska! pożycz mi karafkę „octu“ a jak ja spytałam jej: na co? i ona powiedziała, że ma półmisek morskich raków, to czyż nie prawda, że ci wtenczas zechciało się raków, a ja na to odezwałam się, że źle jeść raki na świeżą ranę! — albo to wreszcie! Nie prawdaż, że kiedy ona schodziła ze schodów, mówiłeś mi, że nie powinnam zadawać się z taką gawiedzią, bo wkrótce będą mię nazywali panią? I czyliż, całując mnie, nie prosiłeś wtedy, abym ci wystarała się trzydziestu szylingów? Ja zakładam ci przysięgę na ewanielię, zaprzyj się, jeżeli możesz!

Falstaf. Milordzie, jest to biedna cierpiąca na umyśle kobieta, chodzi ona tu i owdzie po mieście plotąc, że jej najstarszy syn podobnym jest do waszej dostojności: niegdyś widziała ona lepsze czasy i to prawda, że nędza zwichnęła jej rozsądek. Ale co się tycze tych nierozgarnionych panów oprawców, to proszę waszej dostojności, abym miał zadosyć uczynienie.

Lord sędzia. Sir Dżonie! Sir Dżonie! Dawno mi już wiadomo, że umiesz skrzywić i przyćmić najlepszą sprawę. Lecz ani ta nadrabiana mina, ani ten potok słów więcej niżeli zuchwałych i nierozsądnych, nie zdołają mię wstrzymać od domierzenia sprawiedliwości. Widzę, żeś nadużył łatwowierności, i skorzystał ze słabej głowy tej kobiety, abyś mógł rozporządzać jej majątkiem i osobą.

Oberżystka. Tak, świętą prawdę Jaśnie Wielmożny Pan mówi.

Lord sędzia. Milcz, proszę cię, moja kochana! — Zapłać coś jej winien i zagładź wymierzoną niesławę: pierwsze z tego dwojga da się poprawić gotowymi szterlingami, a ostatnie szczerym żalem.

Falstaf. Milordzie! zarzuty te nie mogą zostać bez odpowiedzi. Wasza dostojność daje imię zuchwalstwa temu, co jest we mnie niespodloną śmiałością. Więc ten, kto wam w milczeniu bije pokłony, będzie cnotliwym! Nie, milordzie, nie zapominając należnych wam względów, nie będę nigdy waszym czołobitnym sługą i powtarzam wam raz jeszcze, że mając pilne polecenie w imieniu króla, chcę być wolnym od tych zbirów.

Lord sędzia. Mówicie, Sir Dżonie, jak człowiek, który ma moc źle czynienia! ja jednak żądam po was, abyście mi odpowiedzieli w sposób zgodny z waszym rycerskim powołaniem i zaspokoili tę kobietę.

Falstaf. Posłuchaj pani Żwawska. (bierze ją na stronę).

(Wchodzi Gower).

Lord sędzia. Ha! waleczny Gower, jakież wieści?

Gower. Król, milordzie, i książę Walii, nie zadługo przybędą. Reszty wam dopowie to pismo.

Falstaf (do oberżystki). Na honor dżentelmena!

Oberżystka. Tak. takeście mówili i wprzód.

Falstaf. Ale posłuchaj-że! mówię ci: na honor dżentelmena! I więcej już o tem ani słowa.

Oberżystka. Przysięgam na tę świętą ziemię, po

której stąkam w tej chwili, że chyba będę musiała oddać w zastaw srebro stołowe i z pokoiów jadalnych: obicia.

Falstaf. Alboż nie masz kieliszków, jest ich aż nadto do picia! Co się tycze twoich ścian, to jakakolwiek ładna drobnostka, na przykład historia syna marnotrawnego, albo niemieckie polowanie, wodnemi farbami tysiąc razy lepiej na nich odbijać będą, niżeli te jakieś tam kotary i pojedzione od molów obicia. — Weź za nie dziesięć szterlingów, jeżeli możesz. Na honor, że jeśliby nie te twoje błyskawice dziwactw, to w całej Anglii nie możnaby znaleźć lepszej kobieciny. No, no, idź się umyj i cofnij na powrót twoją prośbę. Wszak powinnaś mnie znać, że ze mną tych dziwactw nie trzeba. Ale ja wiem, że to cię do tego podmówiono.

Oberżystka. Sir Dżonie! proszę cię przestań na dwudziestu „noblach,” bo doprawdy że ciężko mi oddać w zastaw moje srebro; doprawdy, że nie żartuję.

Falstaf. Dość już, dość o tem: postaram się obmyślić w inny jaki sposób, ale ty moja pani płakać będziesz za swoje głupstwo przez całe życie.

Oberżystka. Niech więc i tak będzie: będziesz miał Sir Dżonie, chociażby mi przyszło zastawić suknię! — Spodziewam się, że przyjdiesz na wieczerzę. Ale mi zapłacisz wszystko razem?

Falstaf. Albożem już umarł? (Do Bardolfa). Idź za nią, idź za nią, dmuchaj, nadskakuj!

Oberżystka. Czy chcesz, aby Dorota Tear-sheet

była na wieczerzy?

Falstaf. Dość już, dość o tem! niech będzie!

(Oberżystka, Bardolf i woźni wychodzą).

Lord sędzia. Otrzymałem najlepsze, jakie tylko żądać można, wieści.

Falstaf. Cóż to za radosne wieści, szlachetny milordzie?

Lord sędzia (Do Gowera). Gdzie król ostatnią noc przepędził?

Gower. W Basingstoke, milordzie.

Falstaf. Mam nadzieję, że wszystko idzie pomyślnie: jakież są nowiny milordzie?

Lord sędzia. Czy całe wojsko powraca?

Gower. Nie, król wyprawił pięć tysięcy jazdy,
I do piętnastu tysięcy piechoty
Pod księciem Janem, przeciw biskupowi
I hrabi Persy.

Falstaf. Czy jego królewska Mość powraca z Walii, szlachetny lordzie?

Lord sędzia. Odpowiedź moją, wnet ci wygotuję
Zacny Gowerze! chodź, proszę cię, ze mną.

Falstaf. Milordzie?

Lord sędzia. Co mi powiecie?

Falstaf.' Szanowny panie Gower, mogę go z sobą

prosić na obiad?

Gower. Powinienem towarzyszyć milordowi, dziękuję wam dobry sir Dżonie.

Lord sędzia. Za długo tu bawicie sir Dżonie, mając obowiązek czynienia zaciągów w hrabstwach, które wam będą po drodze.

Falstaf. Panie Gower, więc przynajmniej mogę mieć go na wieczerzy?

Lord sędzia. Jakiteż głupi mistrz nauczył was takich zwyczajów sir Dżonie?

Falstaf. Panie Gower, jeśli mi te zwyczaje nie przystoją, ten, co mię ich nauczył, był głupi. Sztuka fechtowania zależy na tem milordzie: cios za cios, i kwita!

Lord sędzia. Sir Dżonie! niech ci niebo da upamiętanie. Jesteś łotr wielkiej ręki!

SCENA DRUGA.

Inna ulica w Londynie.

Wchodzą księżę HENRYK i POINS.

Henryk. Daję ci słowo, żem najporządniej utrudzony.

Poins. Do prawdy? A ja myślałem, że utrudzenie nie ośmieli się dostąpić do tak wysokiej osoby.

Henryk. Ośmieliło się wszakże, jakkolwiek nie miło jest mojej wysokości przyznać się do tego. I jak

na toż potrzeba mi jeszcze czuć w tej chwili upakarzający pociąg do podpiwku.

Poins. Czyliż powinien być książę tak ładajako wychowany, aby mu mogło przyjść na myśl o biednym podpiwku.

Henryk. Być może, iż moje pragnienie nie odebrało książęcego wychowania, gdyż na honor, nader czule przychodzi mi teraz na myśl biedny podpiwek. Z powodu tych malutkich ułomności, nieraz do otwartej prawie przychodzi wojny między mną i moją wysokością. Bo czyż to nie upodlenie, naprzykład, pamiętać twoje imię, lub przyznać się jutro do znajomości z twoją twarzą? Albo naprzykład wiedzieć liczbę par twoich jedwabnych pończoch, to jest parę, którą masz na sobie, i drugą *quondam* brzoskwiniowego koloru, albo rejestr twoich koszul, jako to: jedną do codziennego użycia, drugą do przemiany — i nie rozchodźcie się! Lecz co się tyczy twojej bielizny, dzierżawca praczkarni lepiej zapewne wie o jej stanie odemnie, bo w tej mierze kuso być musi z tobą Edwardzie, zwłaszcza jeśli ci zabrakło komży, i jeśli twoje biedne Niderlandy trwają dotąd w smutnym uporze oderwania się od holenderszczyzny. Nie smuć się jednak kochany Edwardzie, akuszerki mówią, że świat dla tego nie zaginie.

Poins. Jak to źle odbija, trzpiotać się po takiej ciężkiej pracy! Powiedz mi, eoby też robiła większa część książąt, gdyby którego z nich ojciec tak był chory, jak twój teraz!

Henryk. Powiedzieć-li ci jedną rzecz Edwardzie?

Poins. Byle tylko ta rzecz była warta słuchania.

Henryk. Piastując tak dowcipną głowę, jak twoja, nie trzebaby z góry umawiać się o cenę.

Poins. Więc jestem przygotowany, pal do mnie tą swoją jedną rzeczą.

Henryk. Dobrze, wiedz zatem, że mi nie przystoi być smutnym, w obecnem położeniu mojego ojca, chociaż mogę ci wyznać — jako człowiekowi, którego w niedostatku kogoś lepszego nazywam moim przyjacielem — że miałbym i bardzo ważne do smucenia się pobudki.

Poins. Zwłaszcza przy takim czułem sercu.

Henryk. Mniemasz-li więc, że pod względem zatwardziałości i zepsucia, moje imię tak czarno połyska w książce Belzebuba, jak twoje i Falstafa. Okaże koniec. Mówię ci tylko, że serce krwią mi się oblewa z powodu choroby ojca, i że przyczyną do nieokazywania smutku jest mi jedynie to złe towarzystwo, w którym żyję.

Poins. Imię tej przyczyny?

Henryk. Cóżbyś pomyślał, widząc mnie płaczącego?

Poins. Pomyślałbym, żeś książę obłudników.

Henryk. Toż samo pomyślałby każdy, tyś właśnie błogosławione dziecię, które nie zbacza nigdy z powszechnego gościńca. Tak, w rzeczy samej, wszyscyby mię nazwali obłudnikiem. Cóż jednak pobudza twój wysoki dowcip do myślenia w ten

sposób?

Poins. Cóż? nie co innego, na honor, tylko żeś był zawsze tak nieprzykładny, i żeś się związał z tym Falstafem.

Henryk. I z tobą.

Poins. Przysięgam na ten dzień biały, że o mnie wszyscy dobrze mówią. Słyszę to na własne uszy, gorszego nic przeciw mnie wymyślić nie mogą, jak tylko, żem młodszy z rodzeństwa i że pracuję na siebie własnymi rękami. Tych zarzutów już-ci mi oddalić nie podobna. Ale patrz tylko, wszak ci to do licha Bardolf!

Henryk. I chłopczyna, któremu dał Falstafowi. Jam mu dał dziecię chrześcijańskie, a ten gruby łotr, patrz tylko jeśli nie zrobił z niego małpy.

(Wchodzi Bardolf i giermek).

Bardolf. Moje pokorne służby Waszej książęcej Mości.

Henryk. Moje pokorne dzięki Waszej Bardolfowskiej Mości.

Bardolf (do giermka). Czegożeś się zaczerwienił cnotliwy ośle, głupie bydlątko! czegóż to się było czerwienić! patrz go jaka panienka. Od razu jednym garncowym dzbankiem, umalował się już jak należy!

Giermek (do księcia). Milordzie, wołał on mię dopiero przez jakąś ponsową firankę, alem ja za firanką nic a nic nie mógł dostrzedz jego twarzy. Nakoniec zabłysnęły mi jego oczy, i jam sobie pomyślał, z

przeproszeniem Waszej Wysokości, że on sobie narzucił na twarz nową czerwoną spódnice naszej szynkarki i patrzy przez dwie kieszenie.

Henryk. Alboż chłopak nie skorzystał?

Bardolf. Pójdź mi z oczu, ty mały dyabliku, ty króliku dwunożny!

Griermek. Prędej ty pójdziesz, łotrze, o którym śniło się Hekubie.

Henryk. Powiedz nam, mój malutki, cóż tam śniło się tej Hekubie.

Griermek. Śniło się jej, proszę księcia pana, że urodziła palącą się głównię. I dla tego ja go tak nazwałem.

Henryk. Objaśnienie warte korony. Masz ją, mój chłopcze!

(Daje mu pieniądze).

Poins. Oby tego pięknego kwiatu nie podtoczył robak. Na masz mój malutki, sześć pensów dla zabezpieczenia.

Bardolf. Jeśli go panowie nie prowadzicie tym sposobem do szubienicy, to na honor, że dzieje się przez to krzywda szubienicy.

Henryk. Jak że się ma twój pan, Bardolfie?

Bardolf. Dobrze, mości książę. Dowiedział się on o przybyciu Waszej Wysokości, i rozkazał mi doręczyć wam to pismo milordzie!

Henryk. I doręczone jak się należy! — Jakżeż twój

pan wygląda z upłynionem latem?

Bardolf. Na ciele, zdrów milordzie.

Poins. Co się tyczy jego nieśmiertelnej połowy, to ta potrzebowałaby lekarza, ale on się nią nie troszczy, choroba tego rodzaju za to jest dobra, że nie kończy się śmiercią.

Henryk. Dopuściłem tego bawołu do takiej z sobą poufałości, jak i mojego wyżła, i on korzysta z tego, patrz tylko jak on mi pisze.

Poins (czyta). „Dżon Falstaf rycerzu. Nie godzi się nikomu nie wiedzieć o tem, każdą razą jak tylko jest zręczność do wyjechania na plac z rycerstwem. To podobnie jak ci królewscy krewni, którym niech zdarzy zadrasnąć szpilką palec, nie omieszkają zwiastować, że „przelana krew królewska“. — „A to jak? “ spyta kto czasem, udając, że nie pojmuje napomknienia, i odpowiedź zlatuje tak prędko jak pożyczana czapka: „jestem, mój panie, niegodnym krewnym Najjaśniejszego Pana“.

Henryk. I w rzeczy samej, są oni zawsze naszymi krewnymi, chociażby przyszło zaczynać od Jafeta. Lecz czytaj dalej!

Poins. „Sir Dżon Falstaf, rycerz, synowi królewskiemu, bezpośredniemu następcy tronu, Henrykowi księciu Walii, pozdrowienie!“ Wszakże to „zaświadczenie!“

Henryk. Czytaj dalej.

Poins. „Chcę naśladować szlachetnych Rzymian co do krótkości“. Chce on zapewne powiedzieć: co do

krótkości oddechu. „Polecam cię twojej pamięci, polecam cię Bogom i żegnam. Trzymaj w oddaleniu Poina, gdyż on nadużywa twojej dobroci aż do tego stopnia, że śmie przysięgać, iż się ożenisz z jego siostrą Heleną. Mając wolny czas, czynń pokutę, jak możesz, i bądź mi zdrów.

Twój zawsze, czy tak, czy nie, (to jest podług tego jakim dlań będziesz) Dżon Falstaf dla moich przyjaciół, Dżon dla sióstr i braci, i sir Dżon dla reszty Europy“.

Pozwól mi, mój książę, ja ten list zmoczę w Cheresie i dam mu do zjedzenia.

Henryk. I CÓŻ stąd, że on połknie dziesiątek słów własnych! Lecz prawdaż to, Edwardzie, że dałeś się słyszeć w ten sposób? Więc chcesz, abym ja poślubił twoją siostrę!

Poins. Chciałbym zapewne, aby ona nie doznała gorszego losu. Ale nie mówiłem nigdy o tem ani słowa.

Henryk. Otóż jak marnie czas tracimy, a duchy mędrców śmieją się tymczasem patrząc na nas z obłoków. Więc twój pan tu w Londynie?

Bardolf. Tak, milordzie.

Henryk. Gdzież on wieczerza? Czy stary dzik tyje ciągle na jednym legowisku?

Bardolf. Na dawnym miejscu, milordzie, w 1stczyp.

Henryk. Któż mu dotrzymuje towarzystwa?

Bardolf. Efezowie, milordzie, z dawnego kościoła.

Henryk. Są między nimi kobiety?

Bardolf. Nie ma innych, milordzie, prócz starej mistris Żwawskiej i mistris Doroty Tear-sheet.

Henryk. Cóż to za jawnogrzesznica?

Giermek. Kobieta wcale przyzwoita, milordzie, jakaś bliska krewna naszego pana.

Henryk. Ha! ha! krewna! Co, jeślibyśmy Edwardzie zeszli znienacka to rodzeństwo przy wieczerzy?

Poins. Jam twój cień, mój książę! idę za tobą.

Henryk. Bardolfie i ty chłopcze, ani słowa przed waszym panem, żem ja w Londynie. Oto wam za milkliwość!

Bardolf. Jam bez języka, milordzie.

Giermek. A ja swój potrańę powstrzymać.

Henryk. Bądźcie zdrowi!

(Bardolf i giermek wychodzą).

— Ta Dorota Tear-sheet musi to być coś brukowego...

Poins. Jak jedna z ulic naszego pocziwego Londynu.

Henryk. Jakby to zrobić, gdybyśmy mogli dziś widzieć Falstafa w jego przyrodzonej postaci, nie będąc sami widzianymi?

Poins. Przywdziejmy kurtki i skórzane fartuchy fagasów, i usługujmy mu do stołu.

Henryk. Z Boga stać się bykiem! Smutna

przemiana! W takim właśnie przypadku był Jowisz! —
Z tem wszystkiem wykonanie, w całej niedorzeczności,
powinno odpowiedzieć treści pomysłu. Chodźmy
Edwardzie!

(Wychodzą).

SCENA TRZECIA.

Warkworth, przed zamkiem Nortumberlanda.

Wchodzą NORTUMBERLAND, ledy NORTUMBERLAND i ledy
PERSY.

Nortumberland. Żono kochana i ty droga córko,
Nie przerywajcie gorzkich moich myśli,
Choć wy przynajmniej nie łączcie się z losem,
Co się dziś zawziął na cały dom Persych.

Ledy Nortumberland. Jużem zamilkła, ani się
ośmielę

Radzić ci więcej. Rób jak ci się zdaje,
Mądrość twa twoim najlepszym doradzcą.

Nortumberland. Dałem im słowo, droga przyjaciółko!
I jechać muszę, lub utracę sławę.

Ledy Persy. Z tem wszystkiem nie jedź, zaklinam na
niebo.

Był czas, mój ojczcie, gdyś złamał swe słowo,
Choć było droższem niżeli jest teraz:
Gdy twój syn własny, mój najlepszy Henryk,
Spoglądał ciągle na północ, czekając
Twojej pomocy, i czekał na próżno.

Któż ci doradzał wtedy zostać w domu?
Dwie przecież sławy było do stracenia:
Twoja i syna. Co do twojej ojczyzny,
Niech ją niebieska światłość opromieni,
Ale Henryka, ona w nim mieszkała
Jak boskie słońce na sklepieniu nieba,
I przy jej blasku młodzież Anglii całą
Do dzieł rycerskich na wyścigi biegła.
Był on do tyła jej zwierciadłem, wzorem,
Że sam chód jego naśladował każdy.
Nawet ten akcent prędkości i nie jasny,
Co był w nim wadą z winy przyrodzenia,
Został nazwany wymową walecznych,
Którą spieszono przejmować, we wszystkim
Chcąc podobieństwo zatrzymać Hotspura.
I tego człowieka — co w mowie, w postawie,
W sposobie życia, w wyborze zatrudnień,
W prawidłach wojny, w całym swym obejściu
Był wzorem, księgą, zwierciadłem rodaków,
Tego człowieka, dziwnego człowieka,
Ten cud wśród ludzi — opuściłeś ojczyznę!
Mając go chlubą, dumą i obroną
Nieporównaną, dozwoliłeś przecież,
By stoczył walkę z biedną garstką ludzi
Przeciwko tłumom, i na polu śmierci
Nie miał obrony nad imię Hotspura!
Gdyś mimo słowa, mógł takiego syna
Opuścić ojczyznę, o nie czyń mu krzywdy.
Nie chciej słowniejszym okazać się cudzym!

Zostaw ich samych. Marszałek i biskup
Mają wojsk dosyć. Gdyby ich połowę
Liczył pod sobą mój najdroższy Henryk,
Dziś bym pytała, wisząc mu u szyi:
Gdzie grób Monmutha?

Nortumberland. O ciężki zarzut sercu twemu córko!

Że odnawianiem żalów i pomyłek
Znowu mię całej pozbawiasz odwagi.
Bo jechać muszę i podzielić z nimi
Niebezpieczeństwo, lub na innym miejscu
Zajdzie mi drogę i znajdzie bezbronnym.

Ledy Nortumberland. Uciekaj do Szkocyi,
Dopóki szlachta z uzbrojonym ludem
Sił swych w tej walce naprzód nie doświadczą.

Ledy Persy. Jeśli się oni utrzymać zdołają,
Wesprzesz ich wtedy ojczyznę swą pomocą
Jak niepożyta kolumną ze stali.
Lecz pierwszą bitwę, błagam, niechaj sami
Przyjmą i stoczą — jak uczynił Hotspur —
Jak to ścierpiełeś — i jak mi być przyszło
Nieszczęsną wdową, której łez i życia
Nie stanie nigdy, by mogła rozpaczą
Choć w części zrównać swojej wiecznej stracie.

Nortumberland. Wejdzmy do środka. Umysł mój w
tej chwili,

Jak morze w swoim najwyższym wezbraniu,
Gdy nie przemaga jeszcze w żadną stronę
Spiętrzona fala. Chciałbym się połączyć
Z arcybiskupem, lecz tysiąc powodów

Od tego kroku wstrzymać mi się radzi.
A więc do Szkocyi! nim w stanowczej chwili
Szala wypadków i mój los przechyli.

(Wychodzą).

SCENA CZWARTA.

Gospoda pod głową dzika w Istczyp.

Dwaj służący.

Pierwszy służący. Na co u licha niesiesz tu te jabłka, co to jak na śmiech, podobne są do naszego sir Diona i ze skóry i z nazwiska. Wiesz, że on cierpieć nie może *eppl-dżonów*.

Drugi służący. A, do dyabła, prawda! Czy pamiętasz jak raz książę postawił przed nim talerz *eppl-dżonów*, śmiejąc się, że otóż mamy jeszcze pięciu *dżonów*! A potem zdjął kapelusz i mówi: „upadam do nóg wszystkich sześciu starym, okrągłym, suchym, pomarszczonym rycerzom“. Falstaf rozgniewał się straszliwie, ale i zapomniał zaraz.

Pierwszy służący. Ustawiaj jednak prędzej talerze i pójdź wyjrz, czy nie nadybiesz gdzie Skrzypalskiego i jego bandy, bo panna Dorota chce żeby była i muzyka. Ale do dyabła, prędzej! W pokoju, gdzie oni jedli wieczerzę, gorąco: wszyscy więc przejdą zaraz tutaj.

Drugi służący. Ale wiesz-że co ci powiem? książę z panem Poinsem przyjdą tu zaraz: pobiorą od nas kurtki i fartuchy i usługiwać będą do stołu, ale Falstafowi nie

trzeba nic mówić o tem. Nakazywali oni o tem przez Bardolfa.

Pierwszy służący. A to, niech mię dyabli, paradnie! Co lepsko, to lepsko!

Drugi służący. No! pójdęz ja po Skrzypalskiego.

(Wychodzą).

(Wchodzi oberżystka i Dorota Tear-sheet).

Oberżystka. Jak chcę być szczęśliwą, wyglądasz teraz w najśliczniejszej „temperaturze“ i puls masz, moje serce, ekstraordynaryjny, jak tylko można żądać, a twój rumieniec żywiuteńka róża. Źle tylko, żeś tyle piła kanaryjskiego wina. To lichy umie zaperfumować krew, prędzej niż je obejrzysz. No, jakże ci teraz?

Dorota. Lepiej już, na uczciwość!

Oberżystka. Tyś nieoszacowana, moja duszko! Wszystko fraszka, byleby serce dobre. Ale otóż on idzie!

(Wchodzi Falstaf śpiewając).

Falstaf. „Kiedy się Artur zjawił u dworu“

— Nacożeście postawili na prezent to naczynie?

(Służący nadchodzi).

„Był to monarcha tak okazały“.

— Cóż? czy ci już odeszło Miss Doroto?

Oberżystka. Na honor, że jej jeszcze słabo i przytem jakieś ma ściskanie.

Falstaf. To odwieczna choroba całego waszego cechu: jak tylko nie ma ściskania, to i słabo.

Dorota. Więc na taką tylko zdobyłeś się pociechę? ty gruby niecnoto!

Falstaf. Tyś mnie zrobiła takim! Miss Doroto!

Dorota. Ja zaś! nie, takim cię zrobiło obżarstwo i choroby.

Falstaf. O ile kucharz do pierwszego, tyłeś ty przyłożyła się do ostatnich. Nie mówiąc już o sercu i o mojej biednej cnocie, jam ci wiele, wiele winien prócz tego.

Dorota. Tak, boś mi winien złoty łańcuch i wiele innych kosztownych rzeczy.

Falstaf. „Rubiny, perły i karbunkuły.“ — Waleczny żołnierz najczęściej powraca z boju kulejąc, a motylek za chwilową ciekawość przypłaca skrzydełkami.

Dorota. Patrz mi, jaki motylek! Tyś raczej poczwara, dziś jeszcze warta szubienicy.

Oberżystka. Otoż się zanosi na stare androny: że też wy nigdy z sobą nie obejdziecie się bez kłótni. Nie możecie zbliżyć się do siebie, jak dwie suche na jednym różnie skwierczące pieczenie. Co to znowu za osobliwsza sympatya, że jedno nie może znieść wyrozumiałości drugiego! Potrzeba jednak, aby jedno z was koniecznie zносиło i to do ciebie (do Doroty) naprzód należy, boś ty, jak to mówią, słabe i kruche

naczynie.

Dorota. Jeśliby tak było, mogłażbym znosić ten ogromny pełniuteńki okseft? Dźwiga on w swoim żołądku cały ładunek bordoskiego wyrobu i na honor, że na żadnym okrętowym pokładzie ładunek nie mógłby być gromadniejszy. Z tem wszystkiem! Dżonie, powinniśmy z tobą rozstać się po przyjacielsku: idziesz, do licha, na wojnę i czy się kiedy jeszcze z sobą zobaczymy, o tem nikt się nie troszczy pod słońcem.

(Wchodzi służący).

Służący. Panie! Chorąży Pistol jest u drzwi i chce mówić z wami.

Falstaf. A niech go spotka szubienica tego łotra, warchoła. Zamknij mu drzwi przed nosem: jes to najopętańsza sztuka w całej Anglii.

Oberżystka. Jeśli to warchoł, więc niech się tu ani potyka: ja chcę — żyć tylko z moimi dobrymi sąsiadami i nie potrzebuję warchołów. Chwała Bogu o mojej reputacyi nie powie nikt złego ani słowa. Zamknij drzwi i powiedz mu, że tu nie przyjmują warchołów. Nie dla tego żyłam aż do tej pory, abym miała widzieć w swoim domu warchołów. (Do służącego). Słyszysz mi!

Falstaf. Posłuchaj tylko, kochana Żwawsiu!

Oberżystka Chciej być spokojnym Sir Dżonie, nie wejdzie tu nikt z warchołów.

Falstaf. Ale to jest mój chorąży.

Oberżystka. Tere! fere! Sir Dżonie, nie mów mi o tem; twój warchoł chorąży nie przestąpi nigdy mojego progu. Byłam onegdaj u pana deputata Tisick, aż on mi mówi, działo się to przeszłej środy — „Pani Żwawska!” — a tak stał Master Dumb, nasz kaznodzieja — „pani Żwawska, powiada, przyjmuj do swego domu tylko ludzi porządnych, bo masz złą sławę” — a mnie zaraz tknęło, do czego to on powiedział? — „jesteś, powiada, kobieta uczciwa i wszyscy o tobie dobrze myślą, powinnaś być ostrożną względem gości, których przyjmujesz do swego domu i nie przyjmuj tych, jak się nazywa, warchołów.” Ja też ich nie przyjmuję. Alebyś tylko zegnał się i patrzył, słysząc, co mówił pan deputat Tisick! Nie, nie chcę, za żadne pieniądze warchołów.

Falstaf. E, on nie warchoł, broń Boże! Jest to wisus, ale potulny i łagodny, choć go przyłoż do rany; onby się nie porwał nawet do afrykańskiej kury, jeśliby widział, iż ta przeciwko niemu nastroszyła pióra. Przywołaj go chłopcze!

Oberżystka. Tak, to tak! Bo co warchołów, to ja ścierpieć nie mogę. Dalipan, że mi się robi słabo na samo wspomnienie: warchoł! Zobaczcie, kto, moje państwo, jeśli nie wierzycie, że ja drzę teraz cała.

Dorota. Na honor, że prawda.

Oberżystka. Mało powiedzieć, że prawda. Aktualnie, że tak jest; drzę jak listek osiny, bo nie mogę znieść warchołów.

(Wchodzą Pistol, Bardolf i giermek).

Pistol. Moje uszanowanie, Sir Dżonie!

Falstaf. Witaj chorąży Pistolu! I oto ci pistolet należycie nabity cheresem: daj zeń ognia do naszej oberżystki.

Pistol. Bardzo dobrze Sir Dżonie, choćby nawet dwiema kulami.

Falstaf. Nie podejmuj się tak łatwo: strzał pistoletowy dla niej nie straszny.

Oberżystka. Tak zapewne, nie zastraszyście mnie ani waszemi kulami ani pistoletami, piję tyle tylko, ile uważam za dobre i nie odstępę od mego zwyczaju dla niczyjej w świecie miłości.

Pistol. Więc wyzywam was mistress Doroto!

Dorota. Mnie? Taki obdartus, łotr, hołysz, co ledwie ma koszulę na grzbiecie. Że się obejdzie, to obejdzie! Jam nie dla takich, jak asan!

Pistol. Przecież znamy się z sobą miss Doroto!

Dorota. Precz, sam rzezimieszku, rzeźniku! Jeśli mi jeszcze raz piśniesz, to niech mi wypadnie z rąk kieliszek, jeśli ci nie obetnę uszu, tym samym nożem, którym ty odrzynasz kalety. Łotr, pijak, zawadyak! I on, już proszę, tytułuje się panem! I jakieś dwa sznurki przypiął do ramion! Patrzcie go!

Pistol. E, co za taką potwarz, to niech już mię lichy, jeśli nie przebiję na wylot — twojej chusteczki!

Falstaf. Dość tego Pistolu! Nie chciałbym, abyś odszedł od nas po prostu: wyleć więc sobie raczej jak

pistoletowa kula, wystrzel!

Oberżystka. Ach nie! nie tu, panie kapitanie Pistol! nie strzelaj tu kochany panie kapitanie!

Dorota. Co on kapitan! Bezczelny, potępiony chłystku, nie wstydzisz-że się nazywać kapitanem! Jeśliby kapitanowie podobnie jak ja myśleli, tobyś usnął pod chłostą, za takie samozwaństwo! Ty, ty kapitan! za to, żeś może zerwał czepek z jakiej tam bezbożnicy! Przeklęty wisielec! właśnie na kapitana przysało zajadać pieczoną marchew i gryczane kuchany! Te łotry gotowe są sponiewierać imię kapitana, tak jak sponiewierano imię platonicznej miłości. Kapitanowie powinnyby dobrze nad tem pomyśleć.

Bardolf. Proszę cię, odejdzmy stąd, kochany panie chorąży.

Falstaf. Jedno słówko, miss Doroto!

Pistol. Nie. Daję ci słowo, kapralu Bardolfie, że jabym ją teraz połknął ze złości: to pójść nie może płazem.

Giermek. Odejdź, odejdź, panie Pistol.

Pistol. Chciałbym ją widzieć wprzód potępioną, w bagnie Plutona, w piekielnej głębinie, z Erebem i jego niecnymi mękami. Dajcie mi tu linię i kątomierz. I precz mi z oczu szczekająca hałastro! — alboż nie mamy tej (uderzając po szpadzie i ukazując potem na Dorotę) duszgubicielki?

Oberżystka. Kochany panie kapitanie Świstol!

uspokuj się! Już tak późno, doprawdy! puść wodze
swojemu gniewowi?

Pistol. Mam być spokojnym! I bardzo zaprawdę!

Bo czyliż stare szkapy pociągowe,
Albo juczone dardanelskie osły,
Co ledwie na dzień ściagną mil trzydzieści,
Cesarom równe, albo Hannibalom,
Lub Trojskim Grekom? Nie! niech zginą raczej
Z królem Cerberem! A że ryczą gromy,
Dbać o tę fraszkę?

Oberżystka. Na honor, kapitanie, to już nadto ostro.

Bardolf. Chodźmy kochany chorąży; to zakrawa na
breweryę.

Pistol. Niech giną ludzie, jak psy i jak wilki,

Niech się korony rozdają jak szpilki,
Alboż nie mamy tej dusz-gubicielki?

Oberżystka. Zawierz mojemu słowu panie
kapitanie, że nie ma tu tego, o czym napomykasz.
Czyliżbym ja mogła w tem odmówić takiej osobie?
Jeśli mam choć trochę łaski, uspokój się kochany panie
kapitanie.

Pistol. Więc jedz i tyj mi Kallipoli gładka,

A dla nas wina!

Si fortuna me tormenta, sperato me contenta.

Bo czyż nam straszna salwa okrętowa?
O nie! niech daje nieprzyjaciół ognia!
A dla mnie wina! ty serce też tutaj! (kładnie szpadę).
I to już wszystko? A gdzież *et caetera*?

Falstaf. Pistol! chcę tu być spokojnym.

Pistol. Całuję wasze ręce rycerzu! Siedm gwiazd
nam obu świeciło.

Dorota. Rzuć go ze schodów, tak żeby mu
zaświeciło siedm kościołów. Nie mogę znieść
paplaniny tego łotra!

Pistol. Rzuć go ze schodów! Doprawdy! Więc już
się nie znamy na farbowanych lisach?

Falstaf. Bardolfie! a rzuć-że go tam jak piłkę! Jeśli
on nie umie nic więcej tylko prawić duby, to niechże i
ma podobna odprawę!

Bardolf. No! mój panie! prosimy na ustęp!

Pistol. Cóż to? czy idzie tylko o nacięcia?

Czy krwi upuścim? 85%

Niechże więc śmierć mię na sen ukołysz,

Skróci za zawsze dni długie i smutne,

A wy trzy siostry przedźćcie swe okrutne,

Straszne, szerokie, niezgłębione rany!

Przybądź Atropos!

Oberżystka. Otoż na co się zanosi!

Falstaf (do giermka). Podaj mi tu szpadę, chłopcze!

Dorota. Nie, nie, Janie, proszę cię nie dobywaj

szpady!

Falstaf. Precz mi stąd natychmiast!

(Obnaża szpadę i pędzi przed sobą Pistola).

Oberżystka. A to jest czysta rewolucya! przysięgam, że wolę raczej zamknąć dom, niżeli być w tych ciągłych harmiderach i patrzeć ustawnie na te szczęki brzęki! Zobaczycie, że się tu nie obejdzie bez kalectwa! Aj! aj! pochowajcie te śmiertelne szpady! pochowajcie te śmiertelne szpady!

(Pistol z Bardolfem wychodzą).

Dorota. Uspokój się, proszę cię Janeczku! Tego zbója już nie ma. Ale jaka z ciebie ognista, zapalona pałka!

Oberżystka. Ozy nie drasnął on cię tylko przypadkiem po żołądku? Ten łotr zamierzał się tak śmiertelnie!

(Powraca Bardolf).

Falstaf. Dobrześ go tam wytrącił za drzwi?

Bardolf. Jak należy. Junak był pijany. Aleś go pan tego dojechał po ramieniu.

Falstaf. Łotr! mnie się nadstawiać!

Dorota. Aleś i ty nie mniejszy łotr, żeś tak upotniał! Pójdź, otrę ci czoło! chodź-że ty krnąbrny urwisie! Dowiodłeś dziś moja staroto, żeś godzien mojej

miłości. Jesteś równie waleczny jak Trojański Hektor, wart więcej niżeli pięciu Agamemnonów i dziesięć razy więcej, niżeli dzisiejsi bohaterowie. Ty stary swawolniku!

Falstaf. Przeklęty natręt! nie koniec na tem! Będzie mi on jeszcze musiał przez kij skakać.

Dorota. Dobrze, dobrze mój Janeczku! a ja cię za to całuję.

(Wchodzi muzyka).

Giermek. Panie! przyszła muzyka!

Falstaf. Niech grają. Grajcie panowie! Siadaj tu przy mnie Doroto! Nędznik! utrapiony samochwał! Gdy przyszło co do czego, sprysnął przedemną jak żywe srebro!

Dorota. A tyś go gonił, na honor, jak kościelna wieża! Trzpiocie ty, hajdamaku! kwiezołku wielkanocny, kiedy też ty poprzestaniesz swoich dziennych i nocnych szubrawstw i pomyślisz o przygotowaniu swojej starej tuszy do przyszłego żywota?

(Wchodzą Henryk i Pains przebrani).

Falstaf (nie zwracając na nich uwagi). Cicho, moje serce! nie mów mi, jak trupia główka! Nie przypominaj mi śmierci.

Dorota. Słuchaj, mój cieniutki! Jakiego też rodzaju człowiek, ten książę?

Falstaf. At sobie dzieciuch, pocziwe prostaczysko! Zdałby się na piekarza, jedyny byłby do krajania chleba!

Dorota. Mówią jednak, że Poinsovi nie zbywa na dowcipie.

Falstaf. Jemu na dowcipie? temu czopowi! Jego dowcip tak jest miałki jak gorczyca z Tewskbury, a głowa nie sensowniejsza od kowalskiego młota.

Dorota. Dla czegoż książę tak go lubi?

Falstaf. Bo jeden i drugi w miejscu nóg są osadzeni na badyłkach. A przytem Poinso ma jeszcze inne szacowne przymioty: gra dobrze w piłkę, może jeść z koprem węgorza, połyka płomyk od świecy, jeździ na wyścigi z dziećmi na kiju, przeklina się jak należy, nosi obcisłe buty jak igielniczki, przeskakuje równemi nogami przez stołki, nie powtarza skromnych historyjek, słowem posiada wszystkie te zalety, co i książę, gdyż rzuciwszy ich obu na szalę, stanęłaby cna tak spokojnie, że włoszek nawet mógłby zniszczyć równowagę.

Henryk. Nie zasługiwałab-ty ta gyra, abyśmy mu okrzესali uszy?

Poinso. Obijmy go w oczach kochanicy!

Henryk. Patrz tylko jak ten siwy koczko dan nastrzepił resztę swoich włosów.

Poinso. Nie osobliwsza to, iż żądza usiłuje w nim przeżyć lata?

Falstaf. Pocałuj mnie Doroto!

Henryk. Cudowne połączenie planet: Saturn z

Wenerą! Co o tem mówi kalendarz?

Poins. Rzuć-że przecię okiem i na planetę-towarzysza! (na Bardolfa) jak czule ten płomienisty Trygon przyświeca przeszłości swojego pana!

(Bardolf nadskakuje Żwawskiej).

Falstaf. Uśmiechasz się do mnie od niechcenia.

Dorota. Nie, na honor, z całego serca.

Falstaf. Jużem stary, nieprawdaż?

Dorota. Z tem wszystkim przenoszę cię nad wszystkich dzisiejszych młokosów.

Falstaf. Co chcesz mieć na suknię? Pieniądze będę miał we czwartek, a jutro kupię ci ładny kapelusik. No, zagrajcie jeszcze co wesołego! Już też późno. Ty, nic dobrego, zapomnisz o mnie, skoro stąd odjadę?

Dorota. Na honor, chcesz mię przywieść do płaczu taką mową. Doświadczy, czy się choć raz ubiorę aż do twego powrotu? Ale posłuchaj końca tej sztuczki!

Falstaf. Franku, podaj tu wina!

Henryk i Poins (podbiegając). Zaraz, panie, zaraz!

Falstaf. Cóż to! wszakże to mniemany syn królewski? A to przyrodni brat jego Poins?

Henryk. Ach ty kulo grzechowa! jakież to ty prowadzisz życie?

Falstaf. Lepsze niż ty. Jestem sobie panem, a ty się krzątasz koło moich kieliszków.

Henryk. Przyszedłem tu, pokrzętać się, mój panie, koło twoich uszu.

Oberżystka. A niech Bóg błogosławi waszą wysokość! Chwałaż Bogu, że jaśnie wielmożny pan powrócił sobie do Londynu w czerstwym zdrowiu! mój Jezu! to wasza wysokość prościuteńko z Walii!

Falstaf. Niedonoszone plemię królewskie! zaręczam ci (kładąc rękę na ramieniu Doroty) na te marcowe wdzięki i ciemno-oliwkową cerę, żeś tu mile widziany!

Dorota. Co, co, ty zgrzybiały niegodziwcze! Tyś mi ani w głowie!

Poins (do Henryka). Jeśli go ksiązę nie ogrzmocisz z góry, to on cię zbędzie żarcikami.

Henryk. Przekłeta góra łoju, jakeś to śmiał dopiero tak niegodziwie odzywać się o mnie w obecności tej zacnej, cnotliwej i grzecznej damy?

Oberżystka. Niech Bóg błogosławi waszą wysokość, za dobre serce! ona w rzeczy samej taka!

Falstaf. Toś mię słyszał?

Henryk. Słyszałem, a tyś mnie poznał, równie jak i pod Gadshill, „tak dobrze jak ten, co mnie stworzył“. Wiedziałeś, że stoję za tobą, i z tem wszystkim gadałeś umyślnie, dla doświadczenia mojej cierpliwości.

Falstaf. Nie, nie, nie tak jak wtedy, nie myślałem, abyś mię słyszał.

Henryk. Musisz mi wyznać, w jakim celu miotałeś na mnie te obmyślane obelgi, i na gorącym uczynku rozprawimy się tu z sobą.

Falstaf. Obelgi, Henryczku! nie, na honor, nie było tu obelg!

Henryk. Więc nazwać mię piekarzem, i zdolnym tylko do krajania chleba, to są pochwały!

Falstaf. Nie, nie było żadnych obelg Henryczku!

Poins. Tak, nie było tu żadnych obelg.

Falstaf. Żadnych obelg, Edwardzie, żadnych w świecie, mój zacny Edwardzie! Ganiłem księcia przed złymi, dla tego jedynie, ażeby źli nie mogli powziąć ku niemu miłości, i w tem postąpiłem sobie jak troskliwy przyjaciel i wierny poddany, za co król zapewne będzie mi wdzięczny. Obelg żadnych tu nie było, Henryczku, żadnych Edwardzie, żadnych moje dzieci, żadnych.

Henryk. Otóż do czego cię doprowadza bojaźń i podłość. Dla uniknienia chłosty szarpiesz honor tej cnotliwej damy! Uważ, że ją złą nazwałeś! Więc złą będzie i pani Żwawska? I ten niewinny giermek? I ten nieposzlakowany Bardolf, którego nos płonie taką gorliwością?

Poins. Odpowiadaj, ty spróchniała wierzbo, odpowiadaj!

Falstaf. Bardolfa napiętnował już raz na zawsze odwieczny nieprzyjaciel synów Adama: twarz jego jest uprzywilejowaną kuchnią Lucypera, w której ten arcydyabeł smaży przysmaczki dla potępieńców. Co się tycze tego chłopaka, ma on przy sobie anioła stróża, ale dyabeł od niego mocniejszy.

Henryk. Lecz te damy.

Falstaf. Jednej z nich dawno już gore w piekle biedna duszyczka. Drugiej winien jestem trochę pieniędzy, i czyli będzie ona za to, lub nie, potępioną, o

tem nic nie wiem.

Okerzystka. Nie, jak chcę być szczęśliwą, nie za to!

Falstaf. Tak i ja myślę, w tej mierze rachunek dawno już skończony, ale masz jeszcze inny bicz na siebie pani Żwawska: pozwalasz, aby tu jadano z mięsem w dni zakazane, a za to czy się podoba czy nie, będziesz musiała pójść do piekła.

Oberzystka. To taką rzeczą będą musieli pójść do piekła wszyscy utrzymujący stołowników, ale cóż to znaczy, jedna czy dwie łopatki baranie w przeciągu całego postu?

Henryk. Panno Doroto?

Dorota. Co mi Wasza Wysokość rozkaże?

Falstaf. Jego Wysokość mówi do asanny z zamrużonemi oczyma.

Oberzystka. Któż się to tam dobija do drzwi? Pójdź wyjrzyj Franku!

(Wchodzi Peto).

Henryk. I cóż tam? Peto!

Peto. Król w Westminsterze. Dwudziestu już gońców
W największym pędzie przybiegło z północy,
A ze dwunastu najmniej kapitanów
Spotkałem w mieście, opytują oni
Po wszystkich szynkach sir Dżona Falstafa.

Henryk. Jakżem ja winien przed niebem, Poinisie,
Że śmiem tu tracić takie drogie chwile,

Gdy powiew buntu jak wichur z południa,
Czarne obłoki zewsząd nagromadza,
I grozi burzą nad naszymi głowami!
Płaszcz mój i szpada! Dobranoc Falstafie!

(Wychodzą Henryk, Poina i Peto).

Falstaf. Otóż, do kata ma przypaść za nic
najpiękniejszy Z moich wieczorów! (słuchać kołatanie)
Znowu kołatanie! (Wchodzi Bardolf). No, cóż tam
Bardolfie!

Bardolf. Musisz pan natychmiast stawić się u
dworu! oczekuje nań przynajmniej ze dwunastu
kapitanów.

Falstaf (do giermka). Zapłać skrzypakom, chłopcze.
Bądź zdrowa gosposiu! Bądź zdrowa Doroto! —
Widzicie moje kochane kobietki jak ludzie odważni i
zasłużeni są poszukiwani, gdy tymczasem piecuchy
mogą spać spokojnie. Bądźcie mi zdrowe! Jeśli jutro
rano nie wyszła mię pocztą, to się jeszcze z sobą
zobaczymy!

Dorota. Nie mogę mówić — mało mi serce nie
pęknie — kochany Janie, oszczędzaj, oszczędzaj
siebie!

Falstaf. Bądźcie zdrowe, bądźcie zdrowe!

(Wychodzi z Bardolfem).

Oberżystka. Niech cię Bóg prowadzi! Dwadzieścia
i pięć wiosen już minie, jak się z tobą znamy, ale

lepszego człowieka i z takim sercem...

Bardolf (za teatrem). Panno Tear-sheet!

Oberżystka. Co takiego? Co takiego?

Bardolf. Proszę powiedzieć pannie Tear-sheet, ie mój pan chce jej powiedzieć słów parę.

Oberżystka. Biegaj, bież prędzej moja kochana Doroto!

(Wychodzą).



AKT TRZECI.

SCENA PIERWSZA

Pokój w zamku królewskim.

KRÓL w nocnej sukni i GIERMEK.

Król. Proś tu wnet hrabiów Surrey i Warwika,
Lecz wprzód niech przejrzą z uwagą te pisma!

(Giermek wychodzi).

Ileż tysięcy najbiedniejszych nawet
Z moich poddanych śpi o tej godzinie!
O śnie, śnie błogi! sił odnowicielu!
Jakiż cię postrach oddała odemnie,

Że na zemdlone nie chcesz spaść powieki
I w zapomnieniu ukoić me zmysły?
Dla czegoż wolisz w pełnych dymu chatkach,
Na niewygodnej zasypiać pościeli,
Pośród brzęczenia natrętnych owadów,
Niżli w pachnących komnatach możnego,
Pod kotarami z drogocennej tkani,
I pośród tonów najmelodyjniejszych?
Dziwaczny bożku! czemuż tak podobasz
W łożu nędzarza, a wezgłowie króla
Mijas jak budkę ogniowego stróża,
Jak tę dzwonnice, z której biją trwogę?
Nie raz na chwiejnym masztowym wierzchołku,
Zklejasz powieki wiszącego majtka,
A gdy do koła szumi wściekła burza,
Wzdymając wały pnące się ku chmurom,
Z wyciem, co samą śmierć obudzić zdoła,
Przecież w tej nawet straszliwej godzinie,
Umiesz utulić przemokłe do nitki,
To dziecię morza! — A wśród cichej nocy,
Śród wszystkich ponęt, jakie tylko mogą
Zwabić cię, zakłąć — tyś nie umodlony
Na głos monarchy! — O spijcież spokojnie
Szczęśni biedacy! gdy na nasze łoże,
Cała moc berła snu przyzwać nie może!

(Wchodzą Warwik i Surrey).

Warwik. Dzień dobry! Najjaśniejszy Panie!
Król. Alboż już ranek?

Warwik. Już jest po pierwszej.

Król. Więc dobry dzień, nawzajem!

Czytaliścież listy?

Warwik. Z całą uwaga Najjaśniejszy Panie!

Król. Wiecie już zatem, że choroba kraju

Nie przeszła wcale i niebezpieczeństwo

Najbliżej serca.

Warwik. To tylko, panie, mijająca słabość,

Na którą pewne rady i sposoby

Sztuka lekarska ma na pogotowiu.

Lord Persy wkrótce wyjdzie z tej gorączki.

Król. Dla czegoż niebo nie dało nam czytać

W księdze przeznaczeń! widzieć w głębi czasu,

Jak tu w równiny zmieniają się góry,

Ówdzie ład niknie i wsiąka do morza,

Tam znów mieleją tonie oceanu,

Jakby się stała przestronną opaska

Dla biodr Neptuna! Czemuż nie widzimy

Uśmiechu losu i tych różnych płynów,

Z których on zlewa swoją czarę przemian!

Patrząc w te księgę, najszcześniejszy młodzian

Na widok cierni swojej przyszłej drogi,

I ciężkich krzyżów, jakie nań czekają,

Przywarłby klamry — i zapragnął śmierci!

Dziesięć lat temu, Ryszard z starym Persy

Nierozzerwani, ucztowali społem,

Ci w lat dwa potem walczyli zawzięcie.

Ósmy rok ledwie, jak tenże sam Persy

Był mi najbliższym od serca człowiekiem,

Jak brat wylany pracował w mej sprawie,
Składał mi u nóg swą przyjaźń i życie,
I nie raz dla mnie śmiało stawiał czoło
W obec Ryszarda! — któryż z was był wtedy?

(Do Warwika).

Ty mój Newilu, jeśli się nie mylę.
Gdy Ryszard we łzach od gorzkich urąg
Nortumberlanda, powiedział te słowa
Teraz prorocze: „Ty Nortumberlandzie!
Coś dziś drabiną, po której mój krewny
Na tron wstępuje — choć niebu wiadomo,
Żem wtedy nie miał myśli o królestwie
I jedna tylko sprawiła konieczność,
Żeśmy z niem potem dali sobie ręce —
„Przyjdzie czas — mówił dalej z oburzeniem —
Przyjdzie, że zbrodnie twe, jak wrzód dojrzały
Tajone wewnątrz wyleją zepsucie!“
W ten sposób długo, jakby wieszczym duchem,
Mówił on jeszcze, i przyszłe wypadki
I zmianę naszej zgadując przyjaźni.

Warwik. W życiu człowieka zawsze są wypadki,
Na które patrząc spokojnem już okiem
Można coś z mglistej dośledzić przyszłości,
Co w nich spowita leży, jak plon w ziarnie.
Z nieuniknionej na świecie kolei
Król Ryszard łatwo mógł i wnieść i wróżyć,
Że ten, co zdradę oddał mu za przyjaźń,
Jeszcze obfitsze zapragnie mieć żniwo

Z tego nasienia, i nie znajdzie gruntu
Prócz w tobie, Panie!

Król. Więc to jest kolej konieczna na świecie.
Nieunikniona? spotkajmyż ją mężnie.
Mówią, że biskup, łącznie z Persym, liczą
Do pięćdziesięciu tysięcy żołnierza.

Warwik. To być nie może, Najjaśniejszy Panie!
Wieść powtarzając głos i echo trwogi
Zawsze ją dwoi. Ale spocznij Panie!
Racz się położyć, ja ręczę mem życiem,
Że nasze wojska łatwo uspokoją
Te zamieszania, zwłaszcza że przed chwilą
List mi oddano o śmierci Owena.
Lecz cierpiąc, panie, od dwóch już tygodni,
Nie chciej poświęcać tak godzin spoczynku,
Racz nam oszczędzać swoje drogie siły!

Król. Przyjmuję wdzięcznie tę życzliwą radę.
Tak, sił mi trzeba. Gdyby nie za swemi,
Jużbyśmy dawno byli w świętej ziemi.

(Wychodzą).

SCENA DRUGA.

Dziedziniec przed domem sędziego pokoju PŁYTKIEM, w hrabstwie
Glocester.

Wchodzą PŁYTEK, z przeciwnej strony MILCZEK, za nimi BUTWIAK,
CIEN, BRODAWKA, SŁABIAK, CIELAK pod strażą.

Płytek (do Milczka). Witam, witam, witam, dajże mi rękę! To dziw, tak rano! Jakże się masz kochany mój krewny, panie Milczek!

Milczek. Dzień dobry, kochany panie Płytek!

Płytek. Jakże się ma moja krewna a wasza połowica, i wasza śliczna córeczka, a moja chrzestna córka Helena?

Milczek. Na nieszczęście, zawsze jak kos, czarna, panie Płytek.

Płytek. Niech będzie, co chce, mój dobry panie Milczek, założę się jednak, że mój krewny Wilhelm musi być przedni łacinnik. On i dotąd w Oksfordzie?

Milczek. Tak, z nie małym nakładem z mojej strony.

Płytek. I zapewne nie zadługo poszlesz go panie Milczek na naukę prawa. Jam był w kolegium Klemensowskim, gdzie zapewne i dotąd jeszcze wspominają o trzpiocie niejakiem Płytku.

Milczek. Podobno dawano wam wtedy imię świerszcza, Płytku.

Płytek. W kolegium nazywano mnie jak chciano, a jam też im płatał, co tylko chciano, i to wręcz i zaraz. Byli tam wtedy, pamiętam, mały Dżone Doit z Staffordshire, czarny Jerzy Bare, Franek Pikbone i Wilhelm Squele, czterej wisusy jakich zapewne nie było do koła w żadnem kolegium prawa. Zwietrzyć zwierzynę i dojść tropu, można powiedzieć, że znaliśmy się na tem, jak należy. Dżon Falstaf, teraz sir Dżon, był jeszcze wtedy małym chłopakiem, dość powiedzieć giermkim przy Tomaszu Mowbray,

księciu Norfolk.

Milczek. Ten sam, sir Dżon, który jest teraz przeznaczonym do nas dla zaciągu żołnierzy?

Płytek. On sam, tenże sam, a nie inny. Patrzyłem na to, jak on pałką rozbił głowę Skoganowi, u samych wrót kolegium, proszę sobie tylko wyobrazić: taćki berbeć! pewno nie większy. I tegoż samego dnia biliśmy się z niejakim panem Samsonem Stokflsh, ogrodnikiem, niemal na szkolnym dziedzińcu. To to były czasy! A teraz o kim człek nie wspomni ze swoich szkolnych kolegów, słyszysz tylko, że umarł.

Milczek. I nas spotka ta kolej.

Płytek. Ani chybi, co prawda, to prawda! Śmierć, jak powiada psalmista, dla wszystkich jest nieuchronną, wszyscy umrzeć muszą. Po czemu też para dobrych wołów płaciła się na jarmarku w Stamford?

Milczek. Jeżeli wyznać prawdę, nie byłem na tegorocznym jarmarku.

Płytek. O tak, śmierć jest nieuchronną. — A czy żyje jeszcze wasz ziomek, stary Double?

Milczek. Dawno umarł.

Płytek. Umarł! proszę, a tak tęgo strzelał z łuku. Jan z Gaunt lubił go bardzo, i wielkie przez niego wygrywał zakłady. Umarł! pst! on ci bywało trafi do celu o dwieście czterdzieści kroków, a dorzuci o dwieście ośmdziesiąt, a nawet dwieście dziewięćdziesiąt kroków, że to aż lubo było patrzeć — a po czemu też w tam tych stronach dziesiątek owiec?

Milczek. Jak do owiec, dziesiątek dobrych płaci się od czterech do pięciu gwineów.

Płytek. To stary Double umarł!

(Wchodzi Bardolf i z nim druga osoba).

Milczek. Są to, jak mi się zdaje, dwaj ze służby sir Dżona Falstafa.

Bardolf. Dzień dobry, moi panowie! Który z nich jest sędzią pokoju Płytek?

Płytek. Robert Płytek, ja jestem panie. Widzisz pan przed sobą obywatela tutejszego hrabstwa i jednego z sędziów pokoju Jego królewskiej mości. Co mi pan rozkażesz?

Bardolf. Mój dowódzca rozkazał, abym go polecił panu: Sir Dżon Falstaf, rycerz, mogę ręczyć honorem, pełen powagi i jeden z najwaleczniejszych kapitanów.

Płytek. Dziękuję niewypowiedzianie za pamięć. Zawszem go znał jak wybornego fechtownika. Jakże się ma ten waleczny rycerz i jeśli mi wolno zapytać w jakim też zdrowiu miledy, jego dostojna żona?

Bardolf. Proszę mi darować, lecz żołnierz nadto dobrze jest dysponowany, aby mógł mieć żonę.

Płytek. A to przedziwnie powiedziano! na honor, przedziwnie powiedziano. „Nadto dobrze dysponowany!” wybornie! Dobrze frazesy są i będą zawsze w wielkiem poważaniu! „dysponowany!” to pochodzi od *dispono*; tak, bardzo dobrze, wyborny frazes!

Bardolf. Daruj mi pan, takem słyszał to słowo. Pan to nazywasz frazesem? Jak jest dzień dzisiaj, tak nie rozumiem tego wyrazu: frazes. Ale co za słowo: „dysponowany“, to gotów jestem obstawać szpadą, gdyż jest to słowo przyzwoite żołnierzowi i nieraz wiele niem można dokazać. Dysponowany, mówi się o człowieku, który jest, jak to mówią, należycie dysponowany, to jest taki, o którym i na którego powiedzieć można, że jest dobrze dysponowany; jest to wyraz całą gębą!

(Wchodzi Falstaf).

Płytek. Bardzo słusznie! Lecz otoż nadchodzi i dobry sir Dżon! proszę o rękę, proszę mi dać rękę swoją, drogocenną, szlachetną rękę! na honor, jak mi ślicznie wygląda! Lat jak nie było! Witaj czcigodny sir Dżonie!

Falstaf. Jakże się cieszę, że was oglądam w dobrym zdrowiu, dobry panie Robercie Płytku! A to, jeśli się nie mylę, jest pan Sure Card.

Płytek. Nie sir Dżonie, jest to pan Milczek, mój krewny i towarzysz urzędu.

Falstaf. Dobry panie Milczek, wam jest bardzo właściwie być urzędnikiem pokoju.

Milczek. Witamy waszą dostojność!

Falstaf. Ależ dyable gorąco! Cóż moi moiści panowie, przygotowaliście mi tu jakie półtuzina zdatnych ludzi?

Płytek. Są, są, mamy w pogotowiu! Lecz raczcie nam pan zrobić łaskę i usiąść.

Falstaf. A nie mogliśmy ich widzieć? jeśli się panom podoba.

Płytek. Natychmiast! Gdzie jest lista? lista? gdzież jest lista? zaraz, w tej chwili, wnet będzie i lista! Jest, jest wszystko: tylko co ją miałem pod ręką! Tak, zaraz, otóż i znaleźliśmy, czegośmy szukali! (czyta) Ralf Butwiak! — Niech tu występują, po jednym, z porządku, bez gwaru, bez ciżby. Ralf Butwiak! Gdzież jest Butwiak!

Butwiak. Jestem.

Płytek. Cóż o nim powiecie sir Dżonie? chłop dorodny, młody, silny i z dobrej rodziny.

Falstaf. Twoje nazwisko Butwiak?

Butwiak. Tak, proszę pana.

Falstaf. A więc właśnie czas, aby był użytym.

Płytek. Ha! ha! przewybornie! na honor! Co jest zbutwiałem, to właśnie zda się do użycia! na moją uczciwość, przewybornie! To jest tak powiedziano, jak tylko być może!

Falstaf. Proszę go naznaczyć.

Butwiak. Wielmożni panowie! chciejcie mię uwolnić! a któż się zajmie gospodarką i ubóstwem mojej biednej matki, jeśli mię naznaczycie. Tyłu jest lepszych odemnie i zdatniejszych do marszu.

Falstaf. Cicho moje dziecię, idź teraz z Bogiem! Sam sobie winienesz: pocóżesz zbutwiać.

Butwiak. Ja? Co? gdzie? kiedy? — Niech mi kto

dowiedzie!

Płytek. Sza! mospanie i stań na boku! wiedz z kim mówisz. Co się tycze innych, sir Dżonie, następuje z kolei Szymon Cień. Gdzież jest Cień?

Cień. Słucham.

Falstaf. Czyim jesteś synem mości panie Cień?

Cień. Jestem synem mojej matki, panie!

Falstaf. Twojej matki. To dosyć podobne do prawdy. I jesteś marą czyli cieniem twojego ojca, jak w rzeczy samej: syn matki często bywa tylko cieniem ojca, nie mając nie a nic z jego istoty.

Płytek. Podoba się wam sir Dżonie?

Falstaf. I cień przyda się w lecie: proszę go naznaczyć. Prócz tego, w naszej wojskowej kontroli, mamy nie jednego z panów Cieni.

Płytek. Tomasz Brodawka?

Falstaf. Gdzież on jest?

Brodawka. Tu jestem.

Falstaf. Twoje nazwisko: Brodawka?

Brodawka. Tak, panie.

Falstaf. Jesteś w rzeczy samej porządnie garbaty.

Płytek. Mamli go naznaczyć?

Falstaf. A to na co? alboż on nie nosi na plecach całego wojskowego rynsztunku? Jest to już stary żołnierz.

Płytek. Cha! cha! cha! otóż to jest mieć do czynienia z wami rycerzu! cha! cha! cha! W rzeczy samej, dziękuję wam najserdeczniej. Franciszek Słabiak!

Słabiak. Jestem.

Falstaf. Twoje rzemiosło Franciszku?

Słabiak. Jestem żeńskim krawcem.

Płytek. Czy każesz go pan naznaczyć.

Falstaf. Jeśliby on był krawcem męskim, to dałby się wam we znaki panie sędzio. — Cóż, kochany panie Słabiak, czy narobisz tyle rzezi w szeregach nieprzyjacielskich ile jej doznały od ciebie stroje płci pięknej?

Słabiak. Będę się starał, panie kapitanie, o ile mi w tem dozwolą siły.

Falstaf. Dobrze mówisz kochany krawcze białogłowski, dobrze, waleczny mój panie Słabiak! Spodziewam się, że będziesz tak mężnym jak rozniewany gołąb, albo jak najszlachetniejsza z myszy. Naznacz, dobrze tego piększyciela płci pięknej, szanowny panie sędzio.

Słabiak. Chciałbym panie, ażeby i Brodawka poszedł do żołnierzy.

Falstaf. A jabym chciał, abyś był męskim krawcem panie Słabiak i wystrychnął swojego przyjaciela w sposób zgodny z twojem życzeniem. Bo już też mi nie podobna zrobić prostym żołnierzem tego, kto, jak sam raczysz widzieć, z natury jest już dowódcą znacznego korpusu. Ta przyczyna niech ci wystarczy, codzień zdrowszy panie Słabiak.

Słabiak. Ona też mi i wystarcza, panie.

Falstaf. A ja też niewypowiedzianie jestem mu wdzięczny za powolność, panie Słabiak! — Lecz któż

z kolei następuje po nim?

Płytek. Piotr Cielak.

Falstaf. Zobaczymy tego pana Cielaka.

Cielak. Jestem.

Falstaf. Ba! ba! sztuka, co się zowie. Napiętnuj panie tego cielaka, aż nam zaryczy.

Cielak. Jaśnie wielmożny kapitanie.

Bardolf. Cóż to? ryczysz już nim cię naznaczono?

Cielak. Ja chory jestem Wielmożny kapitanie.

Falstaf. Na jakąż, naprzykład, chorobę.

Cielak. Na przekłęty katar i straszny kaszel, którego dostałem od ciągłego dzwonienia, w interesach królewskich, w dzień koronacyi.

Falstaf. Nic to! mój kochany! Więc na wojnę pójdziesz sobie ciepło w szlafroku, katar przepędzimy za morze, i urządzimy się tak, że za ciebie podzwonią twoi krewni. Sąż to wszyscy?

Płytek. Mamy jeszcze dwóch w pogotowiu nad liczbę, panu od nas należy się czterech, lecz racz wprzód wejść pod naszą ubogą strzechę i przyjąć skromny obiadek.

Falstaf. Bardzo chętnie wypiję kieliszek wina, ale nie mogę pozostać na obiedzie. Niewymownie rad jestem, że was widzę, panie Płytek.

Płytek. A czy przypominasz sobie sir Dżonie, jakeśmy to przepędzili całą noc w młynie wietrznym koło polanki świętego Jerzego.

Falstaf. Zapomnijmy o tem, kochany panie Płytek.

Płytek. Co też my psikusów nie nawyrabiali tej

nocy. A czy żyje jeszcze i dotąd Joanna Night Work?

Falstaf. I dotąd panie Płytek.

Płytek. Ona nigdy nie mogła się odemnie odżegnać.

Falstaf. Prawda że nigdy, lecz za to też i powtarzała zawsze, że was cierpieć nie może.

Płytek. Bardzo wierzę, bom też ja jej dokuczył, dokuczył. Był to w swoją porę dobry towar, czy utrzymuje się ona jeszcze?

Falstaf. Stara, stara panie Płytek.

Płytek. W samej rzeczy już powinna być stara, inaczej być i nie może, jużci też musi być starą, kiedy swojego Robina Night Work miała ze starym Night Work, pierwszej jeszcze nim ja wstąpiłem do kolegium.

Milczek. Pięćdziesiąt i pięć lat temu.

Płytek. Ach! Panie Milczek! Jeślibyś to widział, cośmy z tym rycerzem widzieli! — Co! alboż nieprawdę mówię sir Dżonie?

Falstaf. Słyszeliśmy nie raz północną grzechotkę, panie Płytek.

Płytek. O, żeśmy słyszeli, to słyszeli, słyszeliśmy na honor! Jeżeli kto, to my zapewne słyszeliśmy. Naszem nocnem hasłem było: „Hop, hop, chłopcy!“ Ale idźmy do stołu! — Czy to takie dni my widzieli! proszę panów.

(Falstaf, Milczek i Płytek wychodzą).

Cielak. Panie kapralu Bardolfie, zarzuć za mną dobre słówko, a oto czterdzieście Henrykowskich

szelingów, w francuskich koronach. Dalibóg, panie kapralu, równieby mi było wisieć jak iść na tę wojnę. Z mojej strony ja się oto nie frasuję, ale że nie mam najmniejszej chęci do wojskowości, i że chciałbym już dokołać wieku przy swoich — zresztą z mojej strony, ja się o to nie wiele frasuję.

Bardolf. Dobrze, stań na stronie.

Butwiak. I za mną wielmożny panie kapralu zarzuć słoweczko przez wzgląd na moją starą matkę. Jeśli mnie wezmą, to ani duszy nie zostanie w domu, i zmarnuje się za nic cała gospodarka. Oto i z mojej strony czterdzieści szelingów.

Bardolf. Dobrze, przejdź na tę stronę.

Słabiak. A dla mnie, na honor, wszystko równo, człowiek raz tylko umiera, i wszyscy dłużni jesteście śmiercią przed Bogiem. Jeśli to mój los, dobrze — nie, znowu dobrze! Nie ma człowieka, któryby mógł powiedzieć, że jest za dobrym, aby miał służyć swojemu królowi, niech będzie co chce, ten kto umiera w tym roku, wypłaca się za następujący.

Bardolf. Dobrze, dzielnyś chłopak!

Słabiak. Na honor, tchórzostwo tylko jest mi obrzydłem.

(Powracają Palstaf i sędziowie).

Falstaf. Jakichże ludzi dacie mi panowie?

Płytek. Czterech, podług waszego wyboru sir Dżonie.

Bardolf. Mam panu powiedzieć jedno słówko na stronie. Cielak i Butwiak dali mi trzy funty szterlingów wykupu.

Falstaf. Zapewne, rozumiem.

Płytek. Którychże więc pan wybierasz?

Falstaf. Wybierz pan dla mnie.

Płytek. Jużci zapewne: Butwiak, Cielak, Słabiak i Cień.

Falstaf. Butwiak i Cielak. Co do ciebie, Butwiak, pozostań jeszcze i dojrzewaj, nim będziesz zdolnym do posługi wojskowej. A ty panie Cielak dorastaj jeszcze nim się usposobisz na całego wołu. Was nie przyjmuję.

Płytek. Sir Dżonie! Sir Dżonie! Pan sobie samemu czynisz krzywdę: są to najdobrańsi ludzie, chcieliśmy mu usłużyć tem, co mamy najlepszego.

Falstaf. Pan mię raczysz uczyć panie Płytek, jakich powinienem wybierać ludzi. Alboż to mi chodzi o ogrom członków, wzrost, otyłość i o tym podobne powierzchowne znaki silnej budowy? Serca, serca mi potrzeba panie Płytek. Oto jest Brodawka na przykład, proszę spojrzeć, co to za rzeźkość w oczach. On ci nabije i uderzy z muszkietu, prędzej niżby uderzył młot kotlarski, a zwinie się tu i owdzie dziesięć razy prędzej, niż się zawija z wiadrami piwowa. Albo na przykład ten profilowy łotr Słabiak! dajcie mi takich ludzi! Niech w nim znajdzie nieprzyjaciela jakkolwiek powierzchnią lub cel do wystrzałów: ktoby weń trafił, ten trafiłby chyba kulą w ostrze scyzoryka, a przyjdzie do odwrotu, to z jakąż chyżością ten białogłowski

krawiec potrafi wam uciekać. O dajcie mi więcej takich brakownych, to ja na waszych dobornych i patrzeć nie będę. Bardolfie! daj Brodawce muszkiet w ręce!

Bardolf. Broń na ramię, do oka! tak! tak! tak!

Falstaf. No! przewróć broń! podnieś! ot tak! dobrze! maszeruj! bardzo dobrze! przewybornie! Nic lepszego, nic podobnego na pieszego strzelca, jak człowiek niski, stary, chudy, garbaty i łysy. Mówię ci na honor, mój Brodawka, żeś przedni piechur. Oto masz testona na porcyę wina.

Płytek. Jeszcze on w tem niedoskonały i nie wyrabia jak należy. Ale pamiętam, że na równinie Mile-End, kiedyś był jeszcze w kolegium, przedstawiałem sir Dagoneta w sztuce „Artur“. Otóż był tam wtedy jakiś malec osobliwszy w tym kunszcie, robił ci on bronią tak, potem przewracał tak, potem tak, w tył, naprzód, wołał: paf! pif! cel! pal! i maszerował w prawo, w lewo, i tam i owdzie, ale to tak, że w życiu mojem zapewne nic już podobnego nie zobaczę.

Falstaf. I ci ludzie dadzą się usposobić. Panie Płytek! żegnam go najczulej. Z wami panie Milczek nie powinienem rozszerzać, się w słowach. Bądźcie zdrowi moi panowie. Dziękuję im obu, dziś jeszcze mam ze dwanaście mil drogi. Bardolfie! daj nowozaciężnym mundury.

Płytek. Sir Dżonie! Niech go błogosławi niebo, szczęści wszystkim jego zamiarom i przywróci nam jak najrychlej pokój. Przechodząc tędy na powrót, odwiedź mój domek, abyśmy oanowili starą znajomość, a być

może, będę mu towarzyszył do dworu.

Falstaf. Bardzobym chciał, abyś nabrał do tego chęci panie Płytek.

Płytek. U mnie słowo grunt sir Dżonie! Bądź zdrów! Szczęśliwej drogi rycerzu!

(Płytek i Milczek wychodzą).

Falstaf. Bądźcie zdrowi szanowni panowie! Dalej Bardolfie! prowadź tych ludzi!

(Bardolf wychodzi).

Za powrotem pomyślimy z jakiej beczki potrzeba będzie zażyć tych dwóch sędziów pokoju. Płytko znam już na wylot. Mój Boże! jak też my starzy zaprzędani jesteśmy występкови kłamstwa. Ten wymokły sędzia przez cały czas tętnił mi w uszy o swojej młodości, o swoich świetnych czynach na ulicy Turnbull, i po każdym trzech słowach tak punktualnie oddawał daninę kłamstwu, jak się oddaje podatek wielkiemu Mongołowi. Przypominam dobrze, że w kolegium podobnym on był do jednego z tych człowieczków, jakie się układają po obiedzie z ostatków sera. Widząc go rozebrany niktby nie powiedział, że to nie jest obrana z łupiny rzodkiew, na której ktoś dla żartu powyrzynał scyzorykiem kształty człowiecze. Na honor, że dla tępego wzroku był on prawie niewidzialnym: był to prawdziwy geniusz głodu i z tem wszystkim rozwiozły jak mała. Bardzo stosownie

brukowe piękności nazywały go mandragorą, z tem wszystkim wił się ciągle w wicherze mody, śpiewał dziewczętom piosenki gwizdane przez furmanów i przysięgał, że one są jego utworu. A teraz patrzcie, ten arcybożnik rozpustny jest sędzią pokoju, i mówi o Janie Gaunt, tak poufale, jak gdyby to był jeden z jego stryjecznych braci. Założę się jednak, że on go widział raz tylko w życiu, na turniejach, wtedy, gdy Gaunt omłócił mu plecy, za to, że się wmieszał między ludzi marszałka. Byłem przy tem i pamiętam, rozśmieszyłem Jana Gaunt uwagą, że w tej chwili kij jego dał plagi innemu kijowi. W rzeczy samej był on tak cienki, że dałby się wsunąć w pochwę od węgorza, a w futerale obojowym mógłby był mieszkać jak w pałacu. I on proszę ma teraz swoją. ziemię i trzody. Dobrze, powinniśmy z sobą zapoznać się za powrotem, i poszłoby już chyba na wielkie nieszczęście, jeślibym nie potrafił zrobić zeń sobie dwoistego kamienia filozoficznego. Jeżeli staremu szczupakowi idą na pożywność młode głowacze, to niech mi kto ukaże w prawie przyrodzonym, jakąkolwiek przyczynę, dla którejbym go nie miał schwytać na wędkę? Zaczóż nie, byleby tylko zręczność była po temu.

(Wychodzi).



AKT CZWARTY.

SCENA PIERWSZA.

Las w hrabstwie Yorku.

ARCYBISKUP, MOWBRAY, HASTINGS i inni.

Arcybiskup. Jak się ten las nazywa?

Hastings. Gualtree, milordzie.

Arcybiskup. Nie idąc dalej, poszlijmy na zwiady
Dla rozpoznania sił nieprzyjaciela.

Hastings. Już są posłani.

Arcybiskup. To bardzo dobrze.

Tymczasem, zacni towarzysze moi,
Winien wam jestem donieść, że niedawno
Otrzymał listy od Nortumberlanda.
Są one treści dość zimnej, następnej:
Pragnął on bardzo — pisze mi — wystąpić
Na czele wojska, coby choć swą liczbą
Odpowiadało sławie jego domu,
Lecz gdy zbyt mało dało się zaciągnąć,
Zmuszonym został cofnąć się do Szkocyi,
Nim los zasprzyja i wzmoże go w siły.
Kończy modłami: abyśmy wyjść mogli
Sławnie z tej walki nie równej i strasznej.

Mowbray. A więc nadzieje na nim zasadzone,
Jakby nie były!

(Wchodzi posłaniec).

Hastings. No, jakież wieści?

Posłaniec. Z zachodniej strony, mniej stąd niż o milę,
W dobrym porządku idzie nieprzyjaciół,
I jak z przestrzeni o liczbie miarkować,
To będzie jakich trzydzieści tysięcy.

Mowbray. Właśnieśmy taką przypuszczali siłę,
Więc spieszmy spotkać ich w otwartym polu.

(Wchodzi Westmorland).

Arcybiskup. Jakiż tu idzie wódz w zupełnej zbroi?

Mowbray. Gdy się nie mylę, to lord Westmorland.

Westmorland. Staję zuprzejm em pozdrowieniem
wodza,

Księcia Jana Lankaster.

Arcybiskup. Witaj nam mile, lordzie Westmorland,
I mów bez trwogi: co cię tu sprowadza?

Westmorland. A więc me słowa, przewielebny panie,
Niech głównie waszej dotyczą osoby.
Jeśliby bunt ten, jakim zwykle bywa,
Był zbiegowiskiem próżniaczego tłumu,
Krwawem narzędziem rozwiozłej młodzieży,
I ciągnął z tłuszcza dzieci i żebraków,
Jeśliby, mówię, miał tę szpetną postać,
Jaką to ma zawsze, czyżby widziano
Męża kościoła i dostojnych lordów,

Pod krwawym znakiem brzydkiego trójzębu,
Wiecznego godła zamieszek i zbrodni!
Więc czemuż, panie, coś naszym pasterzem,
I naprzód urząd sprawujesz pokoju,
Już ubielony srebrnym szronem wieku,
Lubiąc tak dzieci pokoju nauki,
I nosząc śnieżną niewinności szatę,
Co wyobraża boską gołębicę,
Ducha pokoju — czemu chciałeś panie
Język pokoju tak wdzięczny i słodki
Na szorstką mowę wojny przetłumaczyć
Tak nieszczęśliwie! Czemuś chciał zamienić
Księgi na groby, i na krew atrament,
Pióra na spisy, a świętą wymowę
Na odgłos trąby, zachętę do śmierci?

Arcybiskup. Czemu w ten sposób sobie postępuję
Pytanie takie? Krótko też je zbędę.
Wszyscyśmy chorzy, próżniactwo i zbytki
O gorączkowy stan nas przyprawiły.
Trzeba krwi puścić, gdyż z takiej słabości
Umarł nam właśnie i dobry król Ryszard.
Wszakże mój zacny i szlachetny lordzie,
Ja nie przybieram postaci lekarza,
Ani tu wchodzę jako wróg pokoju,
Lecz chciałbym tylko tą przemijającą
Grozą wojenną przywieść do porządku
Umysły chore na szczęścia zbyteczność,
I spędzić trochę wezbranych humorów,
Co zaczynają utrudniać nam życie.

Powiem to jaśniej. Na najczulszej szali
Ważylem ręką bezstronną, nieszczęścia
Złączone z wojną, i jakie cierpimy,
Cóż? krzywdy nasze przeciągnęły szalę.
Widzimy, dokąd potok czasu zmierza!
I właśnie jego widzialny kierunek
Zmusił nas wynieść z świątyni pokoju.
Długą, krzywdami zapisaną listę
Będziemy mogli okazać w swym czasie.
Nieraz już, dawniej, szliśmy z nią do tronu,
Lecz nam nie dano nigdy posłuchania.
Gdyśmy skrzywdzeni stawali z skargami,
To nam do króla bronili przystępu
Ci sami ludzie, co nas pokrzywdzili.
Słowem, nieszczęścia dni ledwie minionych,
(Których pamiątkę krwią naszą pisaną
Nosi ta ziemia) i świeże przykłady
Codzień, co chwila stojące przed oczy,
W te niewłaściwe oblekły nas zbroje,
Nie w celu jednak, byśmy łamać mieli
Pokój, lub choćby jedną zeń gałązkę,
Lecz by ustalić i zapewnić pokój,
Co łączy w sobie z imieniem istotę.

Westmorland. Kiedyż to wasze uchylono skargi?

Jakiej urazy mógł wam król domierzyć,
I któryż kiedy uchylił wam z parów,
Że księgę buntu nieprawą i krwawą
Boską pieczęcią uświęciłeś ojczy?
Że ostrzu wojny bratniej błogosławisz?

Arcybiskup. Dobro powszechne najdroższym mym bratem!

Choć brat z krwi mojej doznał też okrucieństw,
Lecz to oddzielna moja własna sprawa.

Westmorland. Jestże przyczyna igrać losem kraju?

A choćby była, czyż do was należy?

Mowbray. A toż dla czego? Wszyscy tu część mamy,

Czujemy wszyscy zbyt niedawne rany,

I ciężkiej dłoni nierówne ciśnienie

Nad naszym mieniem i przywilejami.

Westmorland. Bądź sprawiedliwym, kochany milordzie,

Daj wzgląd na smutne konieczności czasu,

A sam to przyznasz, że obecne klęski

Wynikły z czasu, nie zaś z winy króla.

Co do was nawet, szlachetny milordzie,

W obu tych źródłach nie widzę przyczyny,

Coby wam jaką nastęrczała skargę?

Wszak wam w całości przywrócono dobra

Książęcia Norfolk, czcigodnej pamięci

Waszego ojca?

Mowbray. W czymże swą sławę naraził mój ojciec,

Aby ją we mnie aż wskrzeszać musiano?

Król, co go lubił, został zniewolonym,

Wbrew swemu sercu, wydać na wygnanie,

I to w tej chwili, gdy w pełnej już zbroi

Stał on w strzemionach przeciw Bolinbroka,

Z włócznią podjętą, z przyłbicą spuszczoną,

Konie ich rżały czekając ostrogi,

W przyłbicach ogień przeświecał się oczu,
A pierwsze trąby już się odezwały.
Wtedy, o wtedy nicby Bolinbroka
Od włóczni ojca mego nie zbawiło!
Lecz gdy mu z ręki biedny król wytrącił
Buławę wodza, ten cios go obalił
I już mu nie dał podnieść się z upadku,
Wraz ze wszystkimi, których tylu potem
Od ostrza miecza i wyroku sądu
Pod Bolinbrokiem smutnie poginęło!

Westmorland. Mówisz milordzie, jak nieświadom rzeczy!

Księżę Herfordu słynał wtedy pierwszym,
Najwaleczniejszym w Anglii dżentelmenem,
To któż wie, komu los by się uśmiechnął?
Lecz gdyby nawet zwyciężył wasz ojciec,
Przy nimby został sam tylko plac boju,
Gdyż głos powszechny całego królestwa
Był przeciw niemu, a za Herefordem
Wszystkich modlitwy i błogosławieństwa,
Co się przeniosły nań z osoby króla.
Lecz to był ustęp, powracam do rzeczy.
Księżę — wódz przysłał mię tu z oświadczeniem,
Że jest on gotów wysłuchać skarg waszych,
Wszystko, co słuszna uznać i wyjednać,
I całą przeszłość oddać zapomnieniu,
Aż do nazwiska tej domowej wojny.

Mowbray. Są to rachuby, nie ofiary serca,
Gdyśmy je sobie aż wymódz musieli!

Westmorland. Zbyt cię wyniosłość zaślepia
Mowbraju!

Są to ofiary łaski, nie bojaźni.
Patrz, o rzut oka stoi wojsko nasze.
Ręczę ci życiem, że te wszystkie pułki
Nie przypuszczają nawet myśli trwogi.
Więcej tam imion wsławionych, niż waszych,
I nasi ludzie zwyklesji do boju;
Przy równej broni, mając lepszą sprawę,
W odwadze pewnie wam nie ustąpimy:
Więc ofiar naszych nie nazywaj musem!

Mowbray. Niech czem chcą będą — mile dziękujemy!

Westmorland. To tylko świadczy o złej treści sprawy:
Zbutwiała skrzynia trwa nietykalnością.

Hastings. Lecz czyż zupełną księżę Jan ma władzę,
W imieniu króla zaręczyć i przystać,
W razie układów, na wszelkie warunki?

Westmorland. Wszak o tem mówi samo imię wodza!
Dziwi mię, wyznam, podobne pytanie.

Arcybiskup. Chciej więc mu wręczyć, milordzie, to
pismo,

Są w niem zawarte wszystkie nasze skargi.
Jeśli, jak słuszna, zadość się im stanie,
I wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób
Tu lub gdzieindziej dzielą naszą sprawę,
Wolni od ścigań na zawsze zostaną,
Za uroczystą od króla rękojmią:
To kres zamiarom i życzeniom kładąc
Wrócimy chętnie w powinne granice

I broń weźmiemy na ramię pokoju.

Westmorland. Oddam to księciu. A gdy się podoba,
To moglibyśmy zejść się, milordowie,
Na miejscu równej od wojsk odległości,
I albo zgodą — co dałoby niebo —
Zakończyć rzeczy; albo też natychmiast
Losem oręża roztrzygnąć je z sobą?

Arcybiskup. Z chęcią, milordzie!

(Westmorland wychodzi).

Mowbray. Coś mi wciąż mówi: że nasze układy
Nigdy mieć stałej nie będą podstawy.

Hastings. O to się nie bój, jeśli tylko wszystkie,
Podane przez nas, wymożem warunki.
To mieć będziemy pokój niewzruszony,
Gdyby opoka.

Mowbray. Tak, ale odtąd dość cienia pobudki,
Najdalszej myśli, najlżejszej osnowy,
A król przypomni sobie to powstanie.
I choć z męczeńską wiarą i miłością
W jego usługach mielibyśmy życie,
To sprawy nasze będą przewiewane
Tak, że kłós pełny wyda się źdźbłem słomy,
A dobre ziarno nie wyjdzie nad plewy.

Arcybiskup. Nie, nie, milordzie! uważ, że Bolinbrok
Już też znużony wyplenianiem spisków.
Doszedł on wreszcie, że zawsze ożywa
Każde zgładzone śmiercią podejrzenie
Dwakroć w dziedzicach! Zetrze więc zupełnie

Nasze imiona ze swoich tabliczek,
By zbyć pamięci niemiłego świadka,
Co mu o dawnych opowiada rzeczach.
Wie on zbyt dobrze, że prześladowaniem
Wszystkich w tym kraju trwóg swych nie wytępi.
Bo z tymi nawet, co go otaczają,
W tak ścisłej spójni są nieprzyjaciele,
Że nie podobna mu uderzyć wroga,
By się nie zachwiał ktokolwiek z przyjaciół
Od tego ciosu. Słowem, kraj ten biedny,
Jest dlań zupełnie jak swarliwa żona,
Której obelgi chciałby skarcić ręką.
Lecz gdy zamierza, w tej chwili niewiasta
Chwyta na ręce swe najmłodsze dziecię,
I kara mija — niknie głuchą groźbą.

Hastings. Przydałbym jeszcze, iż król tylu kaźni,
W ostatnich czasach użył i nadużył,
Że mu już nawet nie staje narzędzi,
Ni środków kary. Jest to lew bez szponów,
Straszy i grozi, lecz schwytać nie zdoła.

Arcybiskup. Zupełna prawda! Bądź mi najpewniejszy
Lordzie marszałku, że gdy w całej treści
Dojdzie nasz układ, otrzymamy pokój
Trwalszy przez samo dzisiejsze zerwanie:
Jak kość złamana i dobrze spojona
Zrasta się potem mocniej i budowniej.

Mowbray. Oby tak było!
Lecz otóż wraca milord Westmoreland

(Wchodzi Westmorland).

Westmorland. Książę tu blisko, Raczycież panowie
Przyjąć na równe od wojsk odległości
Jego wysokość?

Mowbray (do arcybiskupa). Racz na ni przodować panie,
w imię boże!

Arcybiskup (do Mowbraya). Uprzedź nas proszę w
powitaniu księcia!

(Do Westmorlanda).

Idziemy, lordzie!

(Wychodzą).

SCENA DRUGA.

Inna część lasu.

Wchodzą z jednej strony ARCYBISKUP, MOWBRAY, HASTINGS i
inni; z drugiej strony KSIAŻĘ JAN, LANKASTER, WESTMORLAND,
oficerowie i służba.

Lankaster. Mile cię witam mój krewny Mombrayu!

Dobry dzień zacny nasz arcy-pasterzu!

Milordzie Hastings i wszystkim dobry dzień!

Piękniej to było, gdyśmy ciebie, panie,

Widzieli pośród spokojnej owczarni,

Na odgłos dzwonu zebranej i bacznej

Na każde słowo twojego wykładu

Treści pism świętych, niż dziś, gdy cię widzimy,

Mężem żelaznym, przewodnikiem tłumów,

Co na głos bębnow, zbiegły się do buntu,

A wódz ich pasterz zamienił w miecz słowo,
I śmierć, nie życie, do koła zwiastuje.
Jeśliby człowiek bliski serca króla,
Świetny promieńmi jawnej jego łaski,
Zechciał nadużyć swego stanowiska,
Jakże, niestety, łatwoby mu przyszło
Największym zbrodniom użyć pozoru!
Stwierdzasz tę prawdę, wielbny biskupie!
Któż z nas nie słyszał o twojej głębokiej
Umiejętności w tajnych księgach Boga?
Byłeś nam mówcą Jego parlamentu,
Zdałeś się głosem wprost z samego nieba,
Tłumaczem łaski, przewodnikiem związku
Pomiędzy niebem i nami grzesznymi!
Któż mógł pomyśleć, że tak nadużyjesz
Swojego miejsca i świętości stanu,
Jak nadużywa zdradliwy powiernik
Imienia króla, dla niegodnych czynów?
Wziąwszy za hasło żarliwość na Bogu,
Lub uzbroiwszy na jego zastępcę
Mojego ojca, zakłóciłeś pokój
Władzy niebieskiej, z której rządzą króle!

Arcybiskup. Szlachetny książę! nie na władzę króla,
Waszego ojca, wyszedłem z tym ludem,
Lecz jakem mówił hrabi Westmoreland:
Smutne to czasy zgodnie nas zebrały
I zniewoliły skupić się w to koło,
Może nie dosyć prawidłowo krągle,
Ale bezpieczne. Przesłałem wam, książę,

Spis poszczególny pokornych skarg naszych.
Które od dworu odpychane z wzgardą
Tę hydrę wojny dzisiaj wyrodziły.
Groźne jej oczy zamkniesz czarodziejsko
Wiecznym snem książę, jeśli nam zaręczysz.
Skarg naszych słusznych i prawnych uznanie.
I posłuszeństwo uleczone z szалу
Do stopni tronu wnet schyli się kornie.

Mowbray. W przeciwnym razie, jesteśmy gotowi
Do ostatniego ledz za naszą sprawę.

Hastings. A chociaż nawet leglibyśmy wszyscy,
Mamy zastępców na powtórna próbę.
Gdy i ci legną, inni ich zastąpią,
A tak dziedzictwo sporu nie wygaśnie,
Dopóki prawych angielskich pokoleń!

Lankaster. Zbyt jesteś lekkim, zbyt lekkim Hastingsie!
Byś mógł znurtować aż do dna przyszłości!

Westmorland. Baczysz im książę oznajmić
stanowczo:

Czy? i o ile przyjmujesz warunki?

Książę Jan. Przyjmuję wszystkie i uznaję z chęcią,
Na honor krwi mej, składając przysięgę:
Że źle pojęte zostały zamiary
Mojego ojca i że kilka osób
Bliskich do tronu, nadużyło zdradnie
Władzy królewskiej i swojej posady.
We wszystkich skargach, ręczę wam mem życiem
Wnet się domierzy ścisła sprawiedliwość:
Ręczę mem życiem. Chciejcie więc swe wojska

Jak i my nasze, rozpuście do domów.
Lecz wprzód, w obec tych walecznych ludzi,
Damy nawzajem bratnie uściśnienie
I spełnim kubki: by mając naocznie
Ten pojednania i przyjaźni dowód,
Z radosną wieścią wrócili do swoich.

Arcybiskup. Twe słowo, książę, biorę za rękojmnię.

Książę Jan. Chętnie je daję i dotrzymam ściśle.

Więc za twoje zdrowie, czcigodny pasterzu!

Hastings (do jednego z oficerów). Idź kapitanie i oznajm po wojsku

Wieści pokoju: niechaj żołd odbiorą
I idą z Bogiem. Wiem, że pożądanym
Będziesz im posłem: spiesz-że kapitanie!

(Oficer wychodzi).

Arcybiskup. Do ciebie zacny hrabio Westmorland!

Westmorland. Odpowiem chętnie waszej dostojności,
Bom działał szczerze w tej sprawie pokoju
I jestem pewny, że gdybyś o wszystkim
Wiedział milordzie, wniósłbyś moje zdrowie
Również od serca. Ale mam nadzieję,
Że poznasz wkrótce mą życzliwość, panie.

Arcybiskup. Nie wątpię o niej.

Westmorland. Cieszy mię to bardzo.

Więc twoje zdrowie, szlachetny Mowbrayu!

Mowbray. Życzysz mi zdrowia właśnie w samą porę,
Bo nie wiem czemu czuję się dość słabym.

Arcybiskup. Wesołość zwykle poprzedza nieszczęście.

Lecz smutek zawsze dobrą przepowiednią.
Westmorland. A więc bądź wesół, kochany marszałku,

I wierz przysłowiu: że smutek na twarzy

Wesołe jutro pewnie ci nadarzy.

Arcybiskup. Co do mnie, teraz lekko mi na sercu!

Mowbray. A więc tem gorzej, gdy wierzyć przysłowiu!

(Okrzyki za sceną).

Książę Jan. Wieść o pokoju obleciała wojska.

Jakie okrzyki!

Mowbray. O, po zwycięstwie byłyby weselsze!

Arcybiskup. Pokój jest także rodzajem wygranej!

Bo obie strony szlachetnie uległy

Beż żadnej straty.

Książę Jan (do Westmorlanda). Idź, rozkaż hrabio, niech i nasze wojska

Idą do domów!

(Westmorland wychodzi).

(Do arcybiskupa).

Swoim zaś pułkom racz dozwoić panie,

Przeciągać tędy, byśmy widzieć mogli

Z jakim też ludem mieliśmy się spotkać?

Arcybiskup. (do lorda Hastings). Pospiesz, milordzie, spełnić tę chęć księcia,

Dopóki jeszcze wojska nasze w szyku.

(Hastings wychodzi).

Książę Jan. Tuszę, że noc tę spędzimy razem.

(Wraca Westmorland).

Co to? milordzie! nasze wojska stoją.

Westmorland. Dowódcy mając twe rozkazy, książę,

Chcą też z ust waszych mieć je odwołane.

Książę Jan. Znają i ściśle pełnią swą powinność.

(Wraca Hastings).

Hastings. Milordzie! nasi już się rozpierzchnęli.

Jak młode woły wyprężone z jarzma,

Lub jak szkolarze puszczeni na wolę,

Hurmem i z wrzawą ruszyli do domów

Na północ, na wschód, zachód i południe.

Westmorland. Dobre nowiny, mój lordzie Hastingsie!

Więc jesteś więźniem, jako zdrajca stanu!

I was milordzie! i ciebie Mowbrayu!

O zdradę państwa powołuję obu!

Mowbray. Toż jest postępек szlachetny i prawy?

Westmorland. A zbór wasz był nim?

Arcybiskup. Zechcesz-li książę złamać swoje słowo?

Książę Jan. Jam ci go nie dał!

Przyrzekłem w skargach, jakieście zanieśli,

Me pośrednictwo i domiar słuszności:

Tego dopełnię z religijną wiarą.

Lecz wy buntowni odbierzecie karę

Swojego buntu i postępowania.

Najlekkomyślniej zebraliście wojska,

Łudzili marą, głupio rozpuścili.

Uderzyć w bębny i ścigać te zgraje!
Samo ich niebo w ręce nam oddaje.
Zdrajcom straż przydać — i niech zaraz stanie
Ostatnie łoże zdrady, rusztowanie!

(Wychodzą).

SCENA TRZECIA.

Inna część lasu.

Zamieszanie, bitwa. FALSTAF i KOLWIL z przeciwnych stron schodzą się z sobą.

Falstaf. Wasze nazwisko, stopień i miejsce rodzinne? mam zaszczyt zapytać.

Kolwil. Jestem rycerzem, moje nazwisko Kolwil z doliny.

Falstaf. Dobrze więc. Kolwil wasze nazwisko, stopień: rycerstwo, a miejsce rodzinne dolina. Kolwil pozostanie i nadal waszem nazwiskiem, zdrajca waszym przydomkiem, a miejscem pobytu będzie więzienie, miejsce dosyć głębokie, abyście mogli nazywać się i potem Kolwil z doliny.

Kolwil. Nie mam-li przed sobą sir Dżona Falstafa?

Falstaf. Godzien jestem być nim samym, ktokolwiek jestem. Poddajesz mi się pan, czy powinienem się pocić z jego powodu? Jeżeli mam się pocić, krople mojego potu będą łzami miłych mu osób po waszym zgonie: radzę więc wzbudzić w sobie bojaźń i trwogę i zdać się raczej na łaskę.

Kolwil. Myślę, że widzę przed sobą rycerza sir Dżona Falstafa i dlatego się poddaję.

Falstaf. W żołądku moim mości panie mieści się cała akademia języków i każdy z nich powtarza tylko moje nazwisko. Jeślibym posiadał zwyczajny żołądek, byłbym tylko po prostu najczynniejszym człowiekiem w całej Europie, ale mój żołądek, mój żołądek, żołądek, on to mię gubi. Lecz otóż nadchodzi i nasz generał!

(Wchodzą: książę Jan, Westmorland i inni).

Książę Jan. Dość już dla zemsty! nie ścigajcie dalej!
Odwołaj wojska, mój kochany hrabio!

(Westmorland wychodzi).

Gdzieś to dotąd bywał nasz Falstafie?
Zawsze w bezpiecznej zjawiasz mi się chwili!
Ręczę ci wszakże, iż z własnych wykrętów
Gotowy z czasem powróż ci się złoży.

Falstaf. Może też i lepiejby mi z tym było, gdybym rzeczywiście, podług słów waszej książęcej mości, nie spieszył na niebezpieczeństwa; bo dotąd, w nagrodę męstwa odbieram same tylko przymówki i zniechęcenia. Czyliż wasza dostojność bierze mię za jaskółkę, za strzałę albo za kulę działową? mogli moim biednym i starym ruchom nadać lot myśli? Pospiech, z jakim tu przybyłem, daleko przechodzi granice możliwości. Zakasawszy do śmierci sto

ośmdziesiąt i kilka koni pocztowych, ziajany i zniemożony podróżą, przybyłem tu jednak dosyć w porę, jak dla wzięcia w niewolę sir Dżona Kolwila z doliny, jednego z najzapamiętaleszych i najmężniejszych nieprzyjaciół. Spojrzeliśmy tylko po sobie i jeden z nas uznał w drugim swojego zwycięzcę, tak że słusznie mógłbym powiedzieć teraz z krzywonosym rzymianinem: przyszedłem, spojrzałem i zwyciężyłem.

Książę Jan. Było tu więcej grzeczności z jednej strony, niżeli zasługi z drugiej.

Falstaf. O tem nie wiem. Z tem wszystkiem oto jest szpada i moja prośba, aby ten czyn został pomieszczonym obok innych świetnych czynów dnia dzisiejszego, albo inaczej przysięgam na wszystko, co tylko jest świętego, że każę ułożyć balladę i wydam ją z wizerunkiem moim i Kolwila całującego moje nogi. Nie racz mię mości książę przywodzić do tego kroku, bo jeśli w takim razie wszyscy nie będziecie odbijali mnie, jak pozłacane dwa pensy i jeśli blask mojej sławy nie zaćmi waszej sławy, podobnie jak księżyc w pełni zaćmiewa te drobne isierki rozsiane po niebie, które obok niego wyglądają jak szpilkowe główki, to pozwalam już nie wierzyć słowom rycerza. Racz więc baczyć mości książę, aby prawdziwa zasługa szła do góry.

Książę Jan. Twoja jest za ciężką, aby się mogła dźwignąć.

Falstaf. Więc niech świeci.

Książę Jan. Nie może z powodu swojej miąższości.

Falstaf. Więc niech ją spotka przynajmniej cośkolwiek takiego, coby mi wyszło na dobre i potem nazwij ją jak chcesz milordzie.

Książę Jan. Twoje nazwisko: Kolwil?

Kolwil. Tak, milordzie.

Książę Jan. Zawołany jesteś buntownik.

Falstaf. A zawołany wierny poddany wziął go w niewolę.

Kolwil. Jestem, milordzie, tem, czem i wodzowie
Moi się stali. Dawałem im rady,
Któreby drożej niż dziś kosztowały
Wojskom królewskim.

Falstaf. Nie wiem, jaką ceną oni się oprzedali, lecz
co do ciebie, to jak dobry człowiek darowałeś mi swoją
osobę i ja ci za nią dziękuję.

(Wraca Westmorland).

Książę Jan. Odwołano wojska?

Westmorland. Już powróciły: teraz rozkazałem,
By hersztów buntu wnet skazano gardłem.

Książę Jan. I Kolwila z całą jego bandą
Posłać do Jorku i karać natychmiast!
Prowadź go Bluncie i każ strzedz najpilniej!

(Blunt i kilku z Kolwilem wychodzą).

Teraz do dworu, spieszmy milordowie,
Mam smutne wieści o chorobie króla;
Niechże najrychlej dojdzie go pociecha.

(Do Westmorlanda).

Uprzedź nas wszystkich w tem, kochany hrabio!

Falstaf. Dozwól mi mości ksiązę, abym powracał
taż samą drogą przez hrabstwo Gloucester, a za
przybyciem do dworu, racz wspomnieć o mnie
zaszczytnie w swoim raporcie.

Ksiązę Jan. Z Bogiem, Falstafie! nosząc imię wodza
Muszę cię wspomnieć lepiej niżliś godzien.

(Wychodzi).

Falstaf. Życzyłbym ci tylko dowcipu, to byłoby
daleko lepsze od twojego dowództwa. Na honor, ten
zimnokrwisty młodzik nie lubi mię bez żartu: nie
podobna go w żaden sposób rozkołysać do śmiechu i
niedziw, bo też to lichy nie pija wina. Nie może być
nigdy co ludzkiego z tych postnych chłopców: cienkie
napoje i rybne stoły oziębiają im krew i powlekają, ich
twarz jakimś tynkiem bladości, skąd pochodzi, że i po
ożenieniu się bywają oni tylko ojcami córek i w
ogólności są głupcami i arcy-tchórzami, czem być,
możeby i niektórym z nas się dostało, jeślibyśmy nie
uciekali się do środków ogrzewających. Dobry cheres
sprawuje dwa następujące wyborne skutki. Idzie mi on

naprzód do mózgu i osusza wszystkie głupie i gęste wyziewy, które go otaczają, czyni go pojętnym, żywym, wynalazczym, zwrotnym, ognistym i obfitym w powabne obrazy, które gdy będą za pośrednictwem głosu umieszczone na łonie języka, rodzą tu czysty jak złoto dowcip. Drugim nieocenionym przymiotem cheresu jest to, iż krew ogrzewa. Krew w swoim przyrodzonym stanie jest zimna i ciężko ruchoma, wątroba wtedy bywa biała, a nawet żółtawa i to są właśnie cechy małoduszności i tchórzostwa. Tu przybywa na pomoc cheres: ogrzewa on krew i wprawia ją w obieg od wewnętrznego ogniska do najdalszych krańców, oświeca twarz, która jak ogniostrażnica, uderza na trwogę po całym królestwie nazwanem „człowiekiem “ i w oka mgnieniu oddziały duchów żywotnych i innych wojsk królestwa ściągają się do swojego głównego dowódcy serca, które pyszniąc się ze swojego orszaku, dokazuje wtedy cudów odwagi. Wszystko to jest dziełem cheresu, tak że biegłość w sztuce wojennej niczem jest bez niego. On to nadaje wszystkiemu ruch i popęd, i nim ten ruch nastanie, największa znajomość taktyki może się porównać do skarbu ukrywanego przez szatana. Dla tej to jedynie przyczyny książę Henryk tak jest walecznym: wziął on po ojcu w dziedzictwie krew zimną i ciężką, ale to dziedzictwo, podobnie jak zimną, płonną i jałową rolę, potrafił on tak wypracować i poprawić, skraplając regularnie i obficie, dobrem, prawdziwym i żyznem winem hiszpańskim, że dziś

jest ciepło-krwistym i walecznym. Jeślibym miał tysiąc synów, najpierwszą męską zasadą, którejbym ich nauczył, byłoby: ażeby mi się wyprzysięgli lekkich napojów i ślubowali cheresowi. (Wchodzi Bardolf). Cóż tam Bardolfie?

Bardolf. Wojsko zostało rozpuszczonem do domów.

Falstaf. Szczęśliwej drogi! Ja muszę powracać na hrabstwo Gloucester i złożyć moje uszanowanie panu koniuszemu Robertowi Płytkowi. Mam go już w palcach, jak воск wzięty do rozrobienia i spodziewam się, że za chwilę będę mógł na nim wycisnąć pieczęć.

(Wychodzą).

SCENA CZWARTA.

Westminster, Pokój w zamku królewskim.

Wchodzą KRÓL HENRYK, KSIĄŻĘ KLARENCYI, KSIĄŻĘ HUMFRY, WARWIK i inni.

Król. Teraz, lordowie, gdy łaskawe niebo
Da nam zakończyć krwawy spór domowy,
Powiedzeni młodzień w pole czystej chwały,
Niosąc już odtąd tylko broń święconą.
Flota gotowa, wojska są zebrane,
Rządy zdajemy czułym namiestnikom,
Słowem, w tym względzie nic nie pozostaje.
Obyśmy tylko wzmogli się na zdrowiu
I oby prędzej nieszczęsne powstanie
Uległo władzy, od której odbiegło.

Warwik. Jedno i drugie, najjaśniejszy panie,
Nastąpi wkrótce.

Król. Humfry! mój synu! gdzie księżę następcą?

Humfry. Zda mi się, panie, na łowach w Windsorze..

Król. I któż jest przy nim?

Humfry. O tem nie wiem, panie.

Król. Czy mu brat Tomasz tam nie towarzyszy?

Humfry. Nie, panie, Tomasz jest teraz tu z nami.

Ks. Klarencyi. Co mi rozkazać chcesz ojcie i panie?

Król. Nic oprócz dobra twojego Tomaszu.

Czemuż nie jesteś z księciem, swoim bratem?

On cię tak kocha, a ty go unikasz.

Zajmujesz w sercu jego więcej miejsca

Niż inni bracia: nie traćże go synu!

A najpiękniejszy udział pośrednika,

Pomiędzy władzcą i młodszymi braćmi,

Po moim zgonie, na ciebie przypadnie.

Więc nie zaniedbuj i nie studź uczucia,

Jakiem dla ciebie tchnie statecznie Henryk.

On jest tak czuły na głos przywiązania,

Ma łzę litości i rękę odkrytą,

Jak dzień pogodny, na natchnienia serca;

Ale jęczony, staje się jak skała,

Zmienny w humorze jak zima i prędko

W pierwszych wrażeniach, jak szron kroplejący

Ze wschodem słońca. Potrzeba więc umieć

Doń się stosować. W chwilach wesołości

Wskazać mu wady, lecz zawsze oględnie,

Gdy nieprzystępny puścić wolno linę

I dać mu miejsce, aby jak wieloryb
W walce sam z sobą został pokonany.
Tę mą naukę zatrzymaj Tomaszu!
A będziesz zawsze podporą przyjaciół,
Złotym łańcuchem tak łączącym braci,
Że w jednolite krwi waszej naczynie,
Jeśli jad kiedy złej rady i wpłynie,
(Bo nieuchronnie zdarzy się to z czasem)
Nigdy on przecież naczynia nie skruszy,
Choćby tak działał gwałtownie jak tojad,
Choćby rozrywał, jak piorunujący
Rozrywa proszek,

Ks. Klarencyi. Będę pamiętał na twe słowa, panie.

Król. Czemuż nie jesteś dzisiaj z nim w Windsorze?

Ks. Klarencyi. Henryk — w Londynie obiada, ojcze!

Król. Któż tam z nim? nie wiesz?

Ks. Klarencyi. Pains i inni zwykli towarzysze.

Król. Ach! im żyźniejsza, tem obfitsza niwa

W chwasty i perze. I on, miły obraz
Mojej młodości, zbyt w nie obfituje!
Stąd też me smutki nie kończą się z śmiercią.
Serce krwawemi zachodzi mi łzami,
Gdy wyobrażam te dni obłąkania,
Ten czas zepsucia, jaki wy ujrzyście,
Gdy ja już zasnę z przodkami pospołu.
Ta z wszelkich względów wyzuta rozwiołość,
Prócz krwi popędów, nie znająca radzców,
Gdy nigdzie w niczem nie spotka oporu,

Jakże rączemi skrzydły namiętności,
Poleci w przepaść, z której się nie dźwignie!

Warwik. Nazbyt daleko sięgasz wzrokiem panie.

Książę się stara zbadać towarzyszków,
Jak obcą mowę, której kto się uczy.
Powinien wiedzieć nawet gminne słowa,
By ich z pogardą mógł potem unikać.
Podobnież książę, gdy dojrzeje w latach,
Jak podłe słowa, odepchnie tę gawiedź,
I nic w pamięci od niej nie zatrzyma,
Prócz miaroskopu życia niższych stanów:
A tak skorzysta nawet ze zdrożności.

Król. Rzadko, by pszczoła plastr swój opuściła,
Nawet w szkielecie. Któż to? Westmorland?

(Wchodzi Westmorland).

Westmorland. Zdrowia ci panie i niech pomyślności
Łączą się do tej, którą ci zwiastuje.
Książę Jan ręce całuje twe królu.
Mowbray, lord Jorku, Hastings, wszyscy wodze
Już są oddani pod surowość prawa:
A na tych miejscach, gdzie błyszczał miecz buntu,
Powiewa teraz gałązka oliwy.
W tem piśmie, panie, w swobodniejszej chwili,
Odczytać raczysz, w jaki sposób rzeczy,
Bez żadnej straty ze strony wojsk naszych,
Najpożądańszym uwieńczone skutkiem.

Król. Westmorelandzie! ty nam jak ptak letni,

Na progu zimy, jeszcze świt radosny
Zwiastujesz śpiewem! patrzcie! wieści nowe!

(Wchodzi Harkur).

Harkur. Niech cię od wrogów, panie, chroni niebo,
Lub gdy ma zesłać, to niech tak upadną,
Jak ci, o których przynoszę wiadomość.
Lord Nortumberland i Bardolf z swem wojskiem
Angielsko-szkockiem, zostali pobici
Jak najzupełniej, przez szeryfa Jorku.
W tem doniesieniu szczegółowy opis
Składałam ci, panie, naszej świetnej bitwy.

Król. Czemuż wśród wieści tych czuję się słabym?
Nigdyż los nie ma pełnych obu dłoni?
Miłe wyrazy zawszeż pisze mgławo?
To chęć pokarmów daje bez pokarmów
Zdrowym a biednym: to zastawia uczty
Nie dając chęci, bezsilnym bogaczom!
Chciałbym się cieszyć szczęśliwemi wieści,
A świat mi niknie, mózg tak coś rozpiera...
Dajcie mi pomoc! jakże mi źle! Boże!

(Omdlewa).

Humfry. To przejdzie, ojcze!

Ks. Klarencyi. Mój ojcze i panie!

Westmorland. Przemóż się panie i otwórz powieki!

Warwik. Chwilę, książęta, oddalcie się, proszę.

Wszak te omdlenia, wiecie jak zwyczajne!
Świeższe powietrze wkrótce go ocuci.

Ks. Klarencyi. Nie, nie, on długo wstrząśnień tych nie zniesie!

Ta wieczna troska i praca umysłu,
Tak już zwątpiły śmiertelną lepiankę,
Że życie dawno upatruje chwili

Humfry. Gmin mię przeraża. Widział on, jak mówi,
Zwierzęta z matek zrodzonych bez ojców,
Jakiś natury szął dziwolągowy!
Pory zmieniły swą kolej, jak gdyby
Rok zszedł i zbudził odwieczno-uśpione
Jakieś miesiące!

Ks. Klarencyi. Rzeka w trzykrotnym wezbrała
przyptywie,

A żaden po nich nie nastąpił odpływ,
Starzy bazarze wnet sobie wspomnieli,
Że tak być miało i w ostatniej chwili
Naszego dziada, wielkiego Edwarda.

Warwik. Ciszej książęta, król wraca do czucia.

Humfry. Ta apopleksya jest już dlań sądzonym
Rodzajem zgonu!

Król. Proszę was — weźcie i stąd mię przenieście
Gdziekolwiek indziej — tylko lekko, proszę.

(Przenoszą króla do innego pokoju w głębi teatru i kładą na łóżku)

— Nie róbcie wrzawy, mili przyjaciele!
Niech chyba czyja litościwa ręka
Gra coś łagodnie, aż mię sen ogarnie!

Warwik. Niech gra w ościennym muzyka pokoju!

Król. Koronę tu mi połóżcie — niech stoi

Przy mem węzłowi!

Ks. Klarencyi. Oczy wpadają — jakże się już zmienił!

Warwik. O cicho! cicho!

(Wchodzi Henryk).

Henryk. Kto z was widział Klarensa?

Ks. Klarencyi. Tu jestem, bracie, w smutku i rozpacz.

Henryk. Cóż to? deszcz u was, gdy niebo tak czyste?

Czy źle królowi?

Humfry. Niewypowiedzianie.

Henryk. Wieź dobre wieści? powiedzcie mu zaraz!

Humfry. Właśnie osłabiał po ich wysłuchaniu.

Henryk. Jeśli radość przyczyną słabości,

Leków nie trzeba!

Warwik. Ciszej lordowie! Cicho dobry książę!

Król już zasypia.

Ks. Klarencyi. Wyjdźmy stąd wszyscy do innych pokojów!

Warwik (do Henryka). Książę, czy raczysz także wyjść stąd z nami?

Henryk. Nie, pozostanę, chcę czuwać przy królu.

(Wychodzą wszyscy oprócz Henryka).

Po cóż korona przy samem węzłowi,

Ta niespokojna towarzyszka łoża?

Świetna ułudo! szczerozłota trosko!

Ileż to razy trzymasz drzwi otwarte

Po całych nocach — a sen nie przychodzi!

Spi on z nią teraz, lecz nie tym snem zdrowia,.

Słodkim, głębokim, jakim w grubej czapce
Biedny wyrobnik przechrapie noc całą.
Wielkości! jakże tłoczysz swym ciężarem!
Jak droga zbroja, noszona w dzień znojny,
Co zabezpiecza lecz i pali ciało.
U wrot oddechu leży nieruchomie
Drobniuchny puszek. Gdyby on oddychał,
To wiotkie pierze chwiałoby się ciągle.
Panie mój drogi! ojcie ukochany!
Sen twój głęboki! o taki sen właśnie
Tylu już królów Anglii rozłączył
Z tem złotem kołem! — winienem ci ojcie
Łzy i głęboką wieczną boleść serca!
Natura, miłość i czułość synowska
Wyplacać dług ten będą drogi ojcie,
Zawsze i zawsze! — Tyś mi w długu śmiercią
Jako następcy krwi bezpośredniemu,
Winien królewską wędrowną ozdobę,
Ot tę koronę!

(Kładzie koronę na głowę).

Strzedz jej będzie niebo,
I choćby siły połączone świata,
W jednej olbrzymiej skupiły się dłoni,
Ona nie wydrze mi tego dziedzictwa!
Mam je od ciebie i zostawię moim.

(Wychodzi).

Król. Warwik! Humfry! Książę Klarencyi!

(Wchodzą Warwik i inni).

Ks. Klarencyi. Wszakże król wołał?

Warwik. Co każesz panie? I jakże się czujesz?

Król. Czemuście wszyscy odemnie odeszli?

Ks. Klarcncyi. Książę Walijski zostawał tu panie!

Miał on wciąż czuwać.

Król. Henryk? i gdzież on? dajcie mi go widzieć!

Wszak go tu nie ma!

Warwik. W te drzwi otwarte zapewne wyjść musiał.

Król. Gdzież jest korona? kto ją wziął z poduszki?

Warwik. Była na miejscu, gdyśmy wychodzili.

Król. To ją wziął książę. Idźcie go szukajcie!

Tak-że mu pilno i tak niecierpliwy,

Że już sen ojca zdaje mu się zgonem?

Znajdź go, upomnij i sprowadź Warwiku!

(Warwik wychodzi).

O ten czyn jego w zmowie jest z chorobą

Na me dobiecie! Patrzcie, czem wy dzieci!

Jak łatwo wasze buntują się serca

Na połysk złota! I dlategoż ślepi,

Biedni ojcowie, zmagają się troską,

Nie śpią od myśli, dręczą mózg rachubą,

A kości pracą! dlatego tak ciężko

Grosz w grosza zbijają te bryły skażenia!

Dlatego synów w sztukach i ćwiczeniach

Kształcą rycerskich! dlategoż jak pszczoły

Z każdego kwiatu ciągną woń i słodycz

I wciąż miód w ustach, na nogach wosk znoszą

By im jak pszczołom trud płacono śmiercią!
Och! to uczucie zatruwa goryczą
Zgon ojca! ciężko zatłacza mu oczy!

(Wraca Warwik).

I gdzież jest? gdzie on, co tak nie chce czekać
Nim sama słabość, co mu wiernie służy,
Dobije ojca?

Warwik. Zastałem księcia w pobliskim pokoju,
Z twarzą zalaną łzami i w postawie
Pełnej takiego smutku i rozpaczyny,
Że tyran nawet krwią i mordem tchnący
Na jego widok zrosiłby swój sztylet
Łzami litości! Otóż on nadchodzi.

Król. Ale dlaczegoż wziął stąd mą koronę?

(Wchodzi księżę Henryk).

Widzę go — chodź tu, chodź do mnie Henryku!
Opuśćcie pokój, zostawcie nas samych.

(Wychodzą księżę Klarency, Humfry i lordowie).

Henryk. Nigdy nie myślał słyszeć już cie, panie!

Król. Tak, nie myślałeś, boś pragnął Henryku!

Bom cię zmordował już mą obecnością!
Takżeś to chciwy mej władzy i miejsca,
Żeś z głowy ojca, nie czekając pory
Zdjął znak królewski! O, płocha młodości!
Pragniesz potęgi, która cię przygniecie!
Wstrzymaj się chwilę, obłok mojej władzy
Już słabym tylko podpira się wiatrem,

Wnet się rozplynie, dzień mój już dogasa.
Wzięłeś ukradkiem to, co w kilka godzin
Byłoby twojem bez cienia zarzutu,
Jakbyś przy zgonie ojca chciał wycisnąć
Pieczęć na mojem o tobie mniemaniu!
Całe twe życie wskazywało jasno,
Żeś mnie nie kochał, a dziś przy mej śmierci
Chciałeś to stwierdzić. Chowaleś w swych myślach
Tysiąc sztyletów, ostrząc je o kamień
Twojego serca, by mi pół godziny
Odebrać życia! więc i pół godziny
Mojego życia tak ci bardzo cięży?
Dobrze więc synu, idź sam własnoręcznie
Wykop dół ojca i daj rozkaz dzwonom,
Niechaj radośnie doniosą twym uszom,
Nie żem ja umarł, lecz żeś ty na tronie!
Niech łyzy, co miały spaść na całun ojca,
Będą balsamem twego namaszczenia!
Każ zmieszać przecież zwłoki moje z prochem,
I dawcę życia oddać nie zapomnij
Na łup robakom! Potem możesz zaraz
Zepchnąć z miejsc wszystkich moich urzędników,
Znieść me ustawy, bo nadszedł czas nowy,
Prawo igraszką, królem Henryk piąty!
Górą szaleństwo! precz dostojność tronu!
Ustąpcie wszyscy rozsądni doradcy!
Bo dwór angielski zbiera sobie teraz
Ze wszystkich krajów pasorzytne małpy!
Ludy sąsiednie! macie czas zbyć pianę!

Ten stek rozwiozłych, co klnie, pije, tańczy,
Wrzeszczy po nocach, kradnie i rozbija,
Odnawia zbrodnie dawne w świeży sposób,
Cieszcie się — stek ten już wam nie dokuczy!
Anglia zbrodnię każdą ceni w troje,
Da im urzędy, zaszczyty i władzę,
Bo Henryk piąty rozuzdał rozpustę,
Ta wściekła hydra może szarpać zębem
Ciała niewinne! O biedny mój kraju,
Jeszcze cierpiący od wojny domowej!
Gdy me starania wszelkie nie zdołały
Zniszczyć nierządu, czemu się dziś staniesz
Sam nierząd mając odtąd za strażnika!
O znowu dziką staniesz się pustynią,
Ojczyzną wilków, dawnych twych mieszkańców!

Henryk (klękając). Przebacz mi ojcze! przebacz, że za
łzami,

Co mi użycia nie dawały mowy,
Wprzód nie przerwałem tych gorzkich i srogich
Twoich posądzeń — żem cię w trącił w boleść
I ścierpiał, abyś wyczerpał ją do dna!
Oto korona! Niech ten, co ma wieczną
Koronę w niebie, raczy jak najdłużej
Tę ci zachować! Gdy mi w niej co miłe,
Oprócz pamiątki twej sławy i męstwa,
Niech ze złamanej nie wstanę postawy,
W jakiej mię teraz przy twem łożu, ojcze,
Trzyma najświętsze uczucie synowskie!
Niebo mi świadkiem, że kiedy tu wszedłem,

Kiedym cię panie ujrzał bez oddechu,
Dreszcz przeszył serce! Jeśli ci to zmyślam,
Niech dziś umieram w mym smutnym nierządzie,
I nigdy świata nie zdołam przeświadczyć
O zmianie życia, święcie przedsięwziętej!
Wszedłszy tu, panie, i sądząc cię zmarłym,
(Sam na ten widok, mniej żywy niż martwy)
Takim w głos czynił wyrzuty koronie,
Jakby mię słyszeć i pojmować mogła:
„Troski na tobie wiszące zabiły
Mojego ojca! choć więc z najczystsze-
go
Zlano cię złota, każde przecież złoto
Najniższej ceny od ciebie cenniejsze,
Bo może stać się płynem i dać zdrowie,
Gdy ty w swej treści szczerzej i najczystszej
Odbierasz życie temu, kto cię nosi!
Tak wyrzekając wziąłem ją na głowę,
By się doświadczyć, jak z wrogiem, co w oczach
Zabił mi ojca! Był to żal synowski!
Lecz jeśli radość splamiła mą duszę,
Lub jeśli myśli moje nastrzępiła duma,
Jeśli duch jaki buntu, czy próżności,
Ciągnął mię władzę jej powitać mile,
Niech Bóg na zawsze cofnie ją odemnie,
I w najlichszego obróci z wasalów,
Co w kornej trwodze biją przed nią czołem!

Król. Synu mój! niebo tę myśl ci podało,
Abyś ją wziął stąd i pozyskał większą
Ojcowską miłość, broniąc się tak mądrze.

Chodź tu Henryku, usiądź przy mem łożu,
I słuchaj rady ostatniej zapewne,
Jaką ci podam. Niebo wie, mój synu,
Przez jakie kręte ścieżki i manowce
Doszedłem władzy, i ja sam wiem dobrze,
Jak ciężko gniotła skronie ta korona,
Która na twojej głowie się oleży
Spokojniej teraz, bezpieczniej i pewniej,
Bo obwinienia względem jej nabycia,
Zejdą w grób ze mną. Lecz na twoim ojcu,
Zdała się ona zawsze przywłaszczeniem,
Którego pamięć budziły bez przerwy
Wymówki ludzi, co mi dopomogli.
Stąd rosły kłótnie, i nawet w pozornych
Chwilach pokoju, przelew krwi trwał ciągle.
Wiesz jakim walkom nadstawiałem czoła.
Całe me rządy były jedną sceną
Tej samej treści. Lecz teraz śmierć moja
Zmienia stan rzeczy. To, co było we mnie
Świeżym zaborem, nabędziesz już prawnie,
I wieniec króla spada ci w dziedzictwie.
Przecież choć staniesz warowniej odemnie,
Nie sądz się silnym, dopóki stronników
Nie zdołasz zmienić w prawdziwych przyjaciół,
I póki ostrza ich szpon pomocniczych
Nie zetrzesz całkiem. Od tej to pomocy,
(Która tak łatwo obalić mię mogła),
Stojąc na straży, pozbyłem się jednych,
Innych myślałem wieść do ziemi świętej,

By będąc z bliska i czatując chwili,
Nie mogli zbadać mych sił i sposobów.
Tą samą drogą idź dalej Henryku!
Zaprzataj próżne umysły wojnami
Zewnątrz królestwa, by w ciągłej czynności
Straciły zwolna pamięć przeszłych czasów —
Mówiłbym więcej, lecz zniszczone płuca
Już się wzbraniają od dalszej posługi.
Oby korony grzech mi Bóg przebaczył,
A na twej głowie umocnić ją raczył!

Henryk. Drogi mój ojczy! gdyś ty ją pozyskał,
Nosił, utrzymał i dajesz mi w spadku,
To me dziedzictwo i czyste i prawne.
Choćby świat cały chciał mi je wydzierać,
Nie cofnę kroku, będę go odpierać!

(Wchodzi księżę Jan, Warwik, lordowie i inni).

Król. Patrz, patrz! nadchodzi tu i mój Lankaster!

Książe Jan. Zdrowia, pokoju i szczęścia ci panie!

Król. Szczęście i pokój przynosisz mi synu!

Lecz zdrowie, zdrowie na swych młodych
skrzydłach

Już odleciało precz od dnia uschłego.

Widzisz mię synu u kresu podróży.

Gdzież milord Warwik?

Henryk. Milordzie Warwik!

Król. Czy ma i jakie nazwisko ten pokój,

W którym zemdlałem?

Warwik. Zowią go, panie: Jeruzalem — zdawma.

Król. Więc Bogu chwała! Niech tam skończę życie!
Przed wielu laty mi przepowiadano,
Że w Jeruzalem mam dokonać życia,
I jam rozumiał mylnie, ziemię świętą.
Nieścież mię, proszę, na przyjaźni imię,
Niech Henryk umrze, choć w takiej Solimie!



AKT PIĄTY.

SCENA PIERWSZA.

Hrabstwo Gloucester. Pokój w domu Płytki.

Wchodzą PŁYTEK, FALSTAF, BARDOLF i giermek.

Płytek. Nic z tego nie będzie! Co nie, to nie! że nie wyjedziesz nam tego wieczora, rycerzu, to nie wyjedziesz. Hej! Dawidzie! Dawidzie! mówię.

Falstaf. Chciej mię mieć za wymówionego panie Płytek.

Płytek. Bynajmniej! nie mam was za wymówionego! nie możecie być wymówionym, rycerzu! żadne wymówki nie służą, nie będą przyjęte, nie mogą być przyjęte — Dawidzie!

(Dawid wchodzi).

Dawid. Jestem panie.

Płytek. Mój, Dawidzie, Dawidzie, Dawidzie! Zaczekaj no! Zaraz! mój Dawidzie! ale! aha! — Zawołaj tu kucharza Wilhelma! — Nie, sir Dżonie, pan nie możesz być wymówionym.

Dawid. Tamtego aresztu, panie, założyć nie można, a przytem, mam jeszcze zapytać, czy szachownicę zasiewać pan każe pszenicą?

Płytek. Już ci też, czerwoną pszenicą, Dawidzie. Ale zawołaj mi tylko kucharza Wilhelma. Wszakże macie młode gołębie?

Dawid. Są panie. Lecz oto jest rachunek kowala za ukucie koni i zrobienie lemieszów.

Płytek. Oblicz go i zapłać. Nie, sir Dżonie, niemożesz być wymówionym.

Dawid. Potrzeba przy tem, panie, koniecznie dać nowy obręcz na wiedrze. I miałem jeszcze zapytać, czy pan rozkaże potrącić Wilhelmowi z jego pensyi za worek, który stracił na jarmarku w Hinkloy?

Płytek. Już ci też to tak pójść nie powinno! Kilka gołębi, Dawidzie, parę kurcząt, baranią łopatkę, i jeszcze tam kilka jakich smacznych łopatek; powiedz to Wilhelmowi.

Dawid. Czy ten wojak pozostanie u nas na noc, proszę pana?

Płytek. Ma się rozumieć, Dawidzie! chcę go dobrze przyjąć. Przyjaciół u dworu lepszym jest od feniga w

kieszeni. Dopatrz tam dobrze jego ludzi, gdyż są to noszone łotry i mogliby nas oczernić.

Dawid. Nie mogliby bardziej, niż się uczernili sami. Koło nich tak czarno, że aż strach spojrzeć.

Płytek. Dobrze pomyślałeś! — No, idź do roboty, Dawidzie!

Dawid. Jeśliby była łaska pańska, prosiłbym pana o opiekę nad Wilhelmem Wisor z Woncot, przeciw Klemensowi Perkers z Przygórza.

Płytek. Wiele jest skarg, Dawidzie, przeciwko temu Wisorowi, ten Wisor, ile wiem, jest to łotr wielkiej ręki.

Dawid. Zgadzam się z Wielmożnym Panem, że to jest łotr, nie dowódź jednak Boże, aby i łotr czasem nie miał doznać opieki na prośby swojego przyjaciela. Człowiek uczciwy może panie i sam się obronić, a łotrowi tak się nie uda. Służąc ośm lat szczerze i wiernie Wielmożnemu Panu, musiałbym chyba zupełnie już być niegodnym zaufania tak dobrego pana, jeślibym choć kilka razy do roku nie śmiał wstawić się za moimi przyjaciółmi. Bo ten łotr jest względem mnie uczciwym przyjacielem i dla tego to zanoszę teraz za nim prośby do Wielmożnego Pana.

Płytek. No. no, dobrze, dajmy na to, że tak! bądź spokojnym! nie stanie się mu nic złego. Ale miej oko na wszystko, mój Dawidzie!

(Dawid wychodzi).

— Lecz gdzieżeś rycerzu? I na co zaś te buty? Proszę być jak we własnym domu, sir Dżonie! — Proszę mi dać rękę, rękę panie Bardolfle! (Do giermka). Witam mojego Herkulesa, witam! pójdźmy sir Dżonie!

Falstaf. Wnet mu służę.

(Płytek wychodzi).

— A zajrzyj tam do naszych koni Bardolfle!

(Bardolf i giermek wychodzą).

— Jeśliby mię posiekano na kawałki, niezawodnie możnaby było mieć ze mnie ze cztery tuziny ta kich brodatych tyczek jak master Płytek. Co jednak godna podziwienia, to widzieć tę doskonałą zgodność umysłów między nim i jego służącymi. Służący mając go ciągle przed oczyma, postępują sobie tak zupełnie jak głupi sędziowie pokoju, a on ocierając się ustawicznie ze swoimi służącymi przemienił się w doskonałego sędziowskiego służalca. Siła nałogu i towarzystwa zbratała tu tak umysły, że machinalnie rzucają się one w jedną i też samą stronę, jak stado dzikich gęsi. Jeślibym potrzebował kiedy jakiej łaski od pana sędziego Płytki, zrobiłbym sobie wstęp do jego ludzi, napomykając im o wpływie, jaki mają na swojego pana. Jeśliby mi było potrzeba pozyskać jego ludzi, to dośćby mi było z lekka nadmienić ich panu, że w całym świecie nie ma człowieka, któryby umiał ściślej utrzymywać swoich ludzi. Nic pewniejszego

nadto, że głupstwo i mądrość udzielają się podobnie jak zaraźliwe choroby, i dlatego wszyscy powinniśmy dobrze myśleć nad wyborem towarzystwa. Na honor, że ten Płytek wystarczy mi do utrzymania księcia w nieustającym śmiechu przez sześć miesięcy, to jest przez całe cztery kadencje sądowe, i co większa, w przeciągu tego czasu nie będzie wakacyi! Dziwna to jest zaiste potęga kłamstwa, przetykanego zaklęciami i przysięgami, dziwny wpływ żartów rzucanych od niechcienia i z miną kwaśną, na młokosa, któremu nigdy jeszcze nie zaboląły ani paznokcie. Wyobrażam sobie, jak gdybym już patrzył na to, uśmieszę go tak, że mu się twarz pomarszczy jak fałdowany kapiszon.

Płytek (za sceną). Sir Dżonie!

Falstaf. Idę panie sędzio, idę panie sędzio, idę, idę, idę.

(Wychodzi).

SCENA DRUGA.

Westminster. Pokój w zamku.

Wchodzą WARWIK i LORD SĘDZIA.

Warwik. Dokąd, milordzie?

Lord sędzia. Jakże król?

Warwik. Dobrze mu. Skończył wszystkie swe kłopoty.

Lord sędzia. Lecz przecież żyje?

Warwik. Odbył pielgrzymkę trudną na tym świecie,

I już dla naszych zamiarów nie żyje.

Lord sędzia. Wolałbym, by mię powołał za sobą,
Bo za me szczerze dla niego usługi
Nic mię nie czeka, oprócz prześladowań.

Warwik. W istocie, młody król nie zda się łaskaw
Na was, milordzie!

Lord sędzia. Wiem o tem dobrze i jużem od dawna
Gotów spokojnie na wszelkie pociski,
Żaden nie będzie mi niespodziewanym!

(Nadchodzą książę Jan, Humfry, książę Klarencyi, Westmorland i inni).

Warwik. Otóż i smutne sieroty Henryka!
Gdyby żyjący Henryk najmniej piękną
Miał w sobie duszę jednego z tych książąt,
Ilużby ludzi szlachetnych zostało
Przy swych posadach, co wnet będą łupem
Steku nikczemnych!

Lord sędzia. Którzy kraj biedny w odmęt wtrącić
mogą!

Książę Jan (do Warwika). Dobry dzień, kochany hrabio!

Humfry i ks. Klarencyi. Dobry dzień!

Książę Jan. Patrzymy na się, jak ludzie, co władzę
Mowy stracili!

Warwik. Znaleść ją łatwo, lecz zbyt smutnej treści
Przedmiot, o którym mówićby wypadło.

Książę Jan. Pokój na wieki temu, co nam wieczny
Zostawił smutek!

Lord sędzia. Obyśmy także mieli błogi pokój
I jeszcze cięższych nie zaznali smutków!

Humfry. Dobry milordzie! płaczesz przyjaciela,
Przysiadłbym na to, że nie nosisz smutku
Przybranej twarzy, jest ona twą własną.

Książę Jan. Choć losu swego nikt dziś nie jest
pewnym,

Dla ciebie przecież, milordzie, jak najmniej
Dobrej otuchy. Jakże mię to martwi!

Ks. Klarencyi. Ujmuj, milordzie, sir Dżona Falstafa,
Co płynie właśnie twarz w twarz twym zasługom.

Lord sędzia. Dobrzy książęta, comkolwiek uczynił,
Zawszem na honor baczył i sumienie,
A więc przez próżne i podłe wymówki
Nie będę nigdy zebrał przebaczenia.
Gdy obowiązek i jaw na niewinność
Mię nie osłonią, pójdę za mym królem
I powiem, kto mię do niego odesłał.

Warwik. Książę tu idzie.

(Wchodzi król Henryk V.)

Lord sędzia. Dobry dzień! Niechaj niebo wasz
majestat

Zachować raczy!

Król. Ta nowa, pyszna szata majestatu
Nie tak mi lekką, jak sądzić możecie!
Bracia! wasz smutek miesza się z obawą!
Toż jest angielski dwór, a nie turecki,
I nie Amurat zmienia Amurata,
Lecz po Henryku następuje Henryk.
Snućcie się wszakże, smućcie drodzy bracia!

Boleść ta waszym tak przystoi twarzom,
Taki im wyraz nadaje szlachetny,
Że i ja wzór z was biorąc, dobry bracia,
Głęboko w sercu zachowam ten wyraz.
Lecz i wśród smutku, myślcie o tem, proszę,
Że do zniesienia mamy ciężar wspólny.
Go do mnie, niebo biorąc na świadectwo,
Że będę waszym i ojcem i bratem,
Czekam miłości — reszta mem staraniem.
Płakać po drogim ojcu będziem zawsze,
Lecz Henryk żywy każdą dłoń łączę waszą
Na tyleż godzin szczęścia wam zamieni.

Książę Jan. Tegośmy pewni, Najjaśniejszy Panie.

Król (poglądając na nich). Patrzycie na mnie z obawą.

(Do lorda sędziego).

Milordzie!

Wszak jesteś pewnym, żem ci nieżyczliwy?

Lord sędzia. Jam pewny, panie, że sądząc mnie
słusznie

Nie znajdziesz przyczyn, by mię nienawidzieć.

Król. Nie? A więc książę tak wielkich nadziei
Mógłby zapomnieć tak niegodnych zniewag!
Jako: żyć, zbesztać, wtrącić do więzienia
Następcę tronu! toż się daje przenieść,
Rzucić do Lety i zatrzeć w pamięci!

Lord sędzia. Kiedym w osobie ojca twego, panie,
Obraz królewskiej władzy miał na sobie,
I w imię prawa ogłaszał wyroki,

Wasza Wysokość przepomniawszy miejsce,
Majestat prawa, władzę sądownictwa,
I obraz króla, który piastowałem,
Raz mi zadałeś na krześle sędziowskiem:
Więc jak przestępcę przeciw króla ojca,
Z całą śmiałością postępując prawa,
Jam was uwięził. Jeśli źle zrobiłem,
To dozwól odtąd, gdy nosisz koronę,
By syn twój z czasem zdeptał twe ustawy,
Urażał sądom twoim i urzędowi,
Gwałcił bieg prawa i miecz z rąk wytrącał
Stróżom pokoju i twojej osoby.
Lecz więcej nawet — by plwał na twój obraz
I szydził z ciebie w twoim namiestniku!
Rozważ to, panie, w swej królewskiej myśli,
Zrób tę rzecz swoją, przypuść, że masz syna,
O którym słyszysz, że cześć twojej władzy,
Najistotniejsze twej potęgi prawa,
Ciebie samego zelżył i znieważył,
A jam działając w twym imieniu panie,
Milczenie twemu nakazał synowi
Jak najłagodniej! Zważywszy to wszystko,
Sądź mię już potem, jak król i jak ojciec,
W czym wykroczyłem przeciw memu miejscu?
Mojej osobie? i czci ku monarsze?

Król. Masz słuszność sędzio! zważyłeś rzecz dobrze
A więc zachowaj nadal miecz i szale.
Życzę ci, abyś wznosząc się w zaszczytach,
Dożył i patrzył na mojego syna,

Coby ci równie jak ja był posłusznym
W tej smutnej chwili, której nie chcesz pomnieć
A ja bodajbym dożył i powtórzyć
Mógł słowa ojca, że „jestem szczęśliwy,
Gdy mam człowieka, co dosyć jest śmiałym
Do domierzenia prawa na mym synu,
I nie mniej jestem szczęśliwym, że syn mój
Nie śmiał oporu czynić władzy prawa!“
Pod straż mię oddać jakże się nie wahał,
Tak ja w twe ręce nie waham się oddać
Miecza bez skazy, do któregoś nawykł.
Noś go, milordzie, tak śmiało, bezstronnie,
Jak w mojej sprawie. Oto ci ma ręka!
Bądź mej młodości ojcem! Twoje słowa
Głos mój powtarzać będzie z zaufaniem,
A me nieśmiałe zamiary przechodzić
Będą powinny przed sąd twej mądrości.
Chciejcie mi wierzyć w tem, kochani bracia:
Wszystkie me błędy i zdrożne skłonności
Tuż zagrzebane w grobie mego ojca,
Duch jego odtąd pozostał nademną,
I sił mi doda, by oczekiwania
Świata zawstydzić, zmylić przepowiednie,
I na pozorach oparty sąd ludzki
O fałsz przeświadczyć. Przypływ krwi, co dotąd
Po tylu dzikich miotał mną pobrażach,
Odpłynie teraz w spokojną toń morza
I będzie zawsze równym i wspaniałym.
Wkrótce zwołamy najwyższy parlament.

Do składu rady naszej wybierzemy
Ludzi tak zacnych i znanych z mądrości,
Że porównanie zdołamy wytrzymać
Z państwem sąsiedniem, najlepiej rządzonem,
I wszystkie sprawy pokoju czy wojny
Nie będą dla nas obce i zawiłe.

(Do lorda sędziego).

Twe miejsce pierwsze w tej radzie, mój ojcze!
Po koronacyi, gdy, jak nadmienilem,
Zwołamy pierwszych urzędników kraju,
Śmiem tuszyć sobie po pomocy nieba,
Jeśli zamiarom mym pobłogosławi,
Że żaden książę, ani par królestwa,
Nie znajdzie słusznej do modłów przyczyny,
By mi Bóg skrócił życia za me winy.

(Wychodzą).

SCENA TRZECIA.

Hrabstwo Gloucester. Ogród przy domu Płytki.

Wchodzą FALSTAF, PŁYTEK, MILCZEK, BARDOLF, giermek i
DAWID.

Płytek. Na honor, sir Dżonie, musisz jeszcze obejrzeć mój ogród, usiądziemy sobie w altanie i zjemy po kilka pipinów mojego własnego szczepienia, a potem każemy sobie podać biskoptów i jeszcze tam co smacznego. Chodźmy panie Milczek, to przed snem bardzo jest dobre.

Falstaf. Słowo honoru, pan masz bardzo dobre, królewskie mieszkanie.

Płytek. Biedota, biedota, ubóstwo, sir Dżonie, ubóstwo! Ale co powietrze, to jest dobre. No, krzątają się Dawidzie, żywo, żywo, mój Dawidzie!

Falstaf. Ten Dawid nieoceniony człowiek. Jest on u pana, jak uważam, i sługą razem i dozorcą gospodarki.

Płytek. Dobry sługa, sir Dżonie, wcale dobry, bardzo dobry sługa. Ale do kata, za wiele piłem przy wieczerzy. Że dobry, to dobry, sir Dżonie. No, siadajcież panowie, bardzo proszę, siadajcie. Przysuń się ku nam kochany panie Milczek!

Milczek. Zgoda panowie, catem sercem, zgoda!

(Śpiewa).

Taj jeść to teraz nie wstając od stoła!

Dziękować Bogu, latko nie ubogie!

Mięsiwo tanie, choć jałówki drogie,

Ale pudciołki hasają do koła!

Takie, takie wesolutkie!

Hop! wesoło! hop wesoło!

Płytek. To mi prawdziwa wesołość! Dalej panie Milczek, piję za wasze zdrowie!

Dawidzie! a pamiętaj o panu Bardolfie!

Dawid. Siadaj, kochany panie! (Sadza Bardolfa i giermka u innego stoła). Ja wnet im będę służył. Siadajcie moi kochani panowie! nie zapominajcie o sobie. Przekąska

była skromna, lecz za to wynagrodzimy sobie winem.
Zresztą przebaczcie! serce grunt!

(Wychodzi).

Płytেক. Bądźcie dobrej myśli panie Bardolfie, i ty
mój malutki żołnierzu, bądźcie dobrej myśli!

Milczek (śpiewa). Czego się smucić! wszak ma połowica
Taka jak wszystkie dyablice!
To mi wesoło,
Gdy brody w koło!
Niech żyją zapusty!
Hop! hop! zapusty!

Falstaf. Nie myślałem nigdy, aby pan Milczek był
tak wesołym w towarzystwie.

Milczek. Kto, ja? Ha! nie pierwszy to raz. Kilka już
razy bywało z nami tak samo.

(Dawid powraca z półmiskiem jabłek i stawia je przed Bardolfem).

Płytেক. Dawidzie!

Dawid. Biegnę, panie. (Do Bardolfa). Wnet wrócę. Do
jabłek służy kieliszek wina. Wszak tak?

Milczek (śpiewa). Szklanica wina skrzy jak z komina!
Do ciebie, o luba, piję!
Serce wesołe najdłużej żyje!
Falstaf. Brawo, panie Milczek.

Miczek (śpiewa). Bądźmy weseli,
Bo wnet czas chyży
Z bolejącej spiży
Na dobranoc nam wystrzeli!

Falstaf. Zdrowia i wszelkich powodzeń, panie
Milczek!

Milczek (śpiewa). Napełń kielich! każdy z gości,
Spełni tysiąc głębokości!

Płytek. Szanowny Bardolfie! witaj nam! Jeżeli ci
brak czego i nie chcesz nam rozkazywać, przypisz to
sobie samemu. Witaj nam (do giermka). straszny mały
rozbójniku, tak, na honor, witaj nam z całego serca.
Wnoszę zdrowie pana Bardolfa i wszystkich rycerskich
towarzyszów całego Londynu!

Dawid. Mam nadzieję, że może i mnie się zdarzy
być jeszcze przed śmiercią w Londynie.

Bardolf. Już żebyśmy tylko z sobą się zobaczyli
Dawidzie.

Płytek. Ho! do milionset! wypilibyście z sobą
zapewne dobrą butelkę. Co? alboż nie prawda, panie
Bardolfie?

Bardolf. Nawet cały dzban, panie.

Płytek. Dziękuję ci. Ten łotr dostoi wam placu,
mogę was w tem wyręczyć. Płynie w nim krew czysta i
w tył się on nie poda.

Bardolf. I my też, panie, w tył się nie podamy.

Płytek. To się nazywa mówić po królewsku! No! nie zapominajcież tam o sobie! bawcie się dzieci. (Słysząc kołatanie do drzwi). — Ale któż się to tam dobija, zobaczcie!

(Dawid wychodzi).

Falstaf (do Milczka, który duszkiem wypija kieliszek). Pan mi oddałeś, co się nazywa, zdrowie za zdrowie!

Milczek (śpiewa). „Pijem zdrowie, jak należy,
Pasujcież nas na rycerzy!
Samingo!“

Alboż nie tak?

Falstaf. Tak w rzeczy samej!

Milczek. Jeżeli tak, to proszę przyznać, że i my starzy zdamy się jeszcze do czegokolwiek.

(Powraca Dawid).

Dawid. Niejaki Pistol, proszę panów, chce, aby go wpuszczono, przynosi on, jak mówi, wieści od dworu.

Falstaf. Od dworu? przywołajcie go tu.

(Wchodzi Pistol).

— No cóż nowego, Pistolu?

Pistol. Mój hołd wam, sir Dżonie!

Falstaf. Jakiż wiatr powiewa, Pistolu?

Pistol. Nie ten zły wiatr powiewa, co to nic dobrego

nie przynosi człowiekowi. Zaczny rycerzu! staniesz się wkrótce jedną z największych osób w królestwie.

Milczek. Na honor, a ja myślałem, że największą osobą jest nasz pan Puff Barson!

Pistol. Puff!

Ja ci twarz pufnę poganinie, tchórzu!
Sir Dżonie! jam twój Pistol i przyjaciel!
Przypelzłem tutaj i tarzam się w prochu,
Zwiastując tobie pomyślne nowiny:
Wiek złoty, szczęście, radość i obfitość.

Falstaf. Proszę cię, zwiastuj nam te nowiny, jak człowiek z tutejszego świata.

Pistol. W kąć świat tutejszy i jego nicości!

Z Afryką staję, z szczęściem szczerozłotem!

Falstaf. Więc podły negrze! jakież twe nowiny?

Niech król Kofetua wie o nich na koniec!

Milczek. (śpiewa). I Robin Hood, Scarlet i Dżon.

Pistol. Więc orszak śmietnika ma iść z Helikonem

Już w paragonie? a dobre nowiny

Będą igraszką? Jeśli tak, Pistolu,

To oddaj głowę wprost w Furi paszczę!

Płytek. Mój szanowny panie, duruj mi, ale wasz: sposób mówienia nie trafia do mojego pojęcia.

Pistol. Więc płacz i zgrzytanie zębów.

Płytek. Przebac mi pan, jeżeli jednak przynosisz

nam nowiny od dworu, to podług mojego mnie mania, są tu tylko dwie drogi: albo je nam opowiesz, albo zatrzymasz u siebie. A i ja też zostaję pod królem, mój.panie, w pewnym urzędzie. Pistol. Pod jakim królem? Mów nędzny, lub umrzyj! Płytek. Pod królem Henrykiem.

Pistol. Pod Henrykiem czwartym czy piątym?

Płytek. Jużci też pod Najjaśniejszym Henrykiem czwartym.

Pistol. Swój pewny urząd schowaj w pewne miejsce!

Sir Dżonie! królem twój dobry baranek

Henryk piąty z imienia! — powiadam ci prawdę.

Gdy Pistol kłamie, zrób i daj mu figę,

Jak hiszpańskiemu fanfaronikowi!

Falstaf. Jakto? stary król umarł?

Pistol. Mówię ci prawdę, jak że sęk jest w kłodzie!

Falstaf. Dalej Bardolfie! osiodłać mi konia! panie Robercie Płytku, wybieraj dla siebie urząd, jaki ci się podoba w kraju! — na ciebie, Pistolu, łaski poleją, się strumieniem.

Bardolf. O radosny dniu! — nie zamieniłbym mojego losu na rycerstwo!

Pistol. Cóż? czy złe nowiny?

Falstaf. Zanieście pana Milczka do łóżka — panie Płytku, milordzie Płytku, bądź, czem chcesz: jam teraz wielki odźwierny szczęścia! Wkładaj buty, na całą noc jedziemy. O, mój drogi Pistolu! Żywiej Bardolfie!

(Bardolf wychodzi). Pójdź Pistolu, powiedz mi jeszcze cokolwiek i myśl zarazem o tem, co byś mieć życzył. Buty, buty czym prędzej, panie Płytku! Jestem pewny, że młody król choruje z tęsknoty po mnie. Bierzcie konie, czyjebykolwiek one były! Prawa angielskie są teraz na moje rozkazy. Błogo tym, którzy byli moimi przyjaciółmi i biada panu lordowi sędziemu!

Pistol. Niechaj zeń sępy wywłoką wnętrzności!
„Gdzież mój stan dawny?” jak to mówią ludzie:
Niech gdzie chce będzie! święć się dobry Cudzie!

(Wychodzą).

SCENA CZWARTA.

Londyn ulica.

Dwa pachołki ciągną za sobą OBERŻYSTKĘ ŻWAWSKĄ i DOROTĘ
TEARSHEET.

Oberżystka. Ach! ty przeklęty drabie! — Umarłabym z ochotą, bylebyś ty wisiał. Na śmierć wywichnąłeś mi ramię.

Pierwszy pachołek. Jakem cię wziął z rąk Konstablów, tak przysięgam, że porządnie zostaniesz ubiczowana. Proszę, z jej łaski przybito dwóch ludzi do śmierci.

Dorota. Kłamiesz łysy dyable, kłamiesz. I wieszże, co ci jeszcze powiem, ty przeklęty łotrze, ty tatarski flaku! jeśli ty mnie przyprawisz o poronienie, to byłoby

lepiej dla ciebie, gdybyś potrafił i pobił swoją własną matkę, ty niegodziwcze, ty papierowa twarzy!

Oberżystka. O! wszyscy święci anieli, czemu tu nie ma teraz sir Dżona! Nie obeszłoby się to tym łotrom bez krwawej posoki. Ale dobrze, dobrze, niech, niech nastąpi z ich przyczyny poronienie!

Pierwszy pacholek. Jeżeli nastąpi, ty dodasz jej tylko dwunastą poduszkę do tych jedenastu, które teraz nosi i wszystko będzie poprawione. No, moje panie, prosimy dalej! Człowiek, któregoście biły z Pistołem, umarł od tych pobożów.

Dorota. Posłuchaj ty woskowa kukło, błękitny ty mazgaju, wymokły oprawco, jeżeli ty za to wszystko nie będziesz tańcował na szubienicy, to ja się wyrzekam mojego rzemiosła.

Pierwszy pacholek. No, dalej panie, błędne rycerki, dalej!

Oberżystka. Panie Boże! potrzebaż, ażeby to prawo miało przewagę nad dobrą sprawą — ale cóż robić! cierpliwi, szczęśliwi!

Dorota. Dobrze, łotry, dobrze, zobaczymy! prowadźcie mnie do sędziego.

Oberżystka. Tak, prowadź, i mnie prowadź, ty wygłodniały ogarze!

Dorota. Ty, chodząca śmierci, kościotrupie!

Oberżystka. Ty Anatomio!

Dorota. Nędzniku, chłystku, obdartusie!

Pierwszy pacholek. Dobrze — dobrze!

(Wychodzą).

SCENA PIĄTA.

Plac publiczny koło Westminsterskiego opactwa.

Dwaj inni pachołkowie posypują plac gałęźmi i sitowiem.

Pierwszy pachołek. Więcej, więcej sitowia!

Drugi pachołek. Trąby już dwa razy się odzywały.

Pierwszy pachołek. Zaraz będzie już dwie godziny, jak oni wracają z koronacyi. Spieszmy! spieszmy!

(Pachołki wychodzą).

(Wchodzą Falstaf, Płytek, Pistol, Bardolf i giermek).

Falstaf. Stań tu przy mnie, panie Robercie Płytku. Upewniam was, że król nie zostawi go bez jakiegokolwiek łaski. Ja tylko nań mrugnę, gdy koło nas będzie przechodził: zobaczysz co za miny będzie on do mnie wyrabiał.

Pistol. Błogosławieństwo płucom twoim, szlachetny rycerzu.

Falstaf. Chodź tu Pistolu i stawaj za mną! — (do płytki). Jeśliby mi wystarczało czasu, kazałbym porobić dla siebie nowe suknie, a dla moich ludzi liberyę, za te tysiąc funtów szterlingów, którem u was pożyczył. Ale to nic nie znaczy, ta skromna powierzchowność jeszcze jest lepszą: dowodzi ona pośpiechu, z jakim starałem się go widzieć.

Płytek. Tak, zapewne.

Falstaf. Szczerości mojego przywiązania.

Płytek. Zapewne, że tak.

Falstaf. Mojego poświęcenia się.

Płytek. Tak, zapewne, zapewne.

Falstaf. Żem dzień i noc pędził pocztą, żem zapomniiał o wszystkim, nie myślał o niczem, żem nie miał nawet cierpliwości przybrania się jako tako.

Płytek. O, tak, zapewne.

Falstaf. Stawić się tak po podróznemu, w kurzawie i pocie, jest to mieć jedną tylko chęć i jedną myśl widzenia go, jest to odłożyć wszystko na stronę, jak gdyby człowiek miał tylko jedną w świecie potrzebę oglądania go — jest to...

Pistol. Jest to być *semper idem*, gdyż *absque hoc nihil est*: jest to być wszystkim wszędzie.

Płytek. Tak w rzeczy samej.

Pistol. Rycerzu! Zaczę twą zapalić muszę

Wątrobę zemstą i zgrozą.

Twoja Dorota, matka twych myśli,

W podłem więzieniu, sromotnem zamknięciu,

Wtrącona ręką brudną i brutalną!

Wypuść z jaskini hebanowej zemstę,

Niechaj zasyczy wężam i Alekto!

Bo Dorota w więzieniu! Pistol mówi prawdę.

Falstaf. Ja ją oswobodzę.

(Słuchać trąby).

Pistol. Słuchać ryk morza i dźwięcznych surm
granie!

(Wchodzi król z orszakiem, w którym znajduje się i lord sędzia).

Falstaf. Witaj królu Henryczku, witaj mój królewski
Henryczku!

Pistol. Niech cię Bóg strzeże i zachowa
arcykrólewski płodzie sławy!

Falstaf. Niech Bóg zachowa, mój kochany
chłopcze!

Król. Milordzie sędzio! przemów do szaleńca!

Lord sędzia. Czyżes przy zmysłach? czyliż wiesz
co mówisz?

Falstaf. Mój królu, mój Jowiszu! do ciebie mówię,
moje serce!

Król. Nie znam cię stary! idź mówić pacierze!

Te białe włosy na głupim trefnisiu
Jakże rażące! Podobnego człeka,
Tak nabrzmiałego od zbytku pokarmów,
Niecnej starości — kiedyś we śnie długim —
Pomnę, widziałem, ale obudzony
Snem mym pogardzam. Idź, umniejsz swe ciało,
A pomnóż wartość. Porzuć swe obżarstwo
I wiedz, że grób cię trzykroć szerszy czeka,
Niż innych ludzi. Nie sil mi się próżno
Na żart niewczesny! Nie myśl, że dziś jestem,

Czem byłem niegdyś. Niebu już wiadomo
I świat zobaczy, żem dawnego człeka
Już z siebie złożył, wszystkich odrzuć,
W których nikczemnem żyłem towarzystwie.
Jeśli posłyszysz, żem ten, co był wprzód,
Powrócisz do mnie: będziesz tem, czem byłeś:
Mym przewodnikiem i wodzem rozpusty.
Lecz od tej chwili, pod obawą śmierci,
Jakem już przegnał i twoich współników,
Nie śmiej się zbliżać do naszej osoby,
Jak o mil dziesięć. O twem utrzymaniu
Każę pomyśleć, abyś nie wykraczał
Przez brak sposobów. Jeśli nam doniosą,
Żeś zmienił życie, to podług zdolności
I przyszłych zasług, damy ci posadę.

(Do lorda sędziego).

Na was, milordzie, wkładamy spełnienie
Tego rozkazu. Dać znać orszakowi,
By postępował!

(Król z orszakiem wychodzą).

Falstaf. Panie Płytku, jam ci winien tysiąc funtów.

Płytek. Tak, w rzeczy samej, sir Dżonie, i proszę,
abym je mógł wziąć z sobą do domu.

Falstaf. To nie łatwo da się zrobić, panie Płytku.
Lecz w tej mierze bądź spokojnym. Z królem
pomówimy jeszcze sam na sam. Przed światem,
widzisz pan, musi on być takim. Z tem wszystkim

możesz być pewnym swojego podwyższenia, panie Płytku. Jam dotąd ten sam człowiek, przez którego zostaniesz wielkim panem.

Płytek. Nie pojmuję, jakby się to stać mogło, chyba mi pan dasz swój strój terażniejszy i rozkażesz mię wypchać słomą. Proszę go, sir Dżonie, przynajmniej o połowę mojej należności.

Falstaf. Panie Płytku! Słowo moje nienaruszone, a to, coś widział i słyszał, były tylko blichtry, fupy dla motłochu.

Płytek. Bodajby tylko te fupy nie napędziły wam śmiertelnego kaszlu, sir Dżonie.

Falstaf. Śmiej się z fumów, panie Płytku — pójdziemy na obiad! chodź, poruczniku Pistol! chodź, Bardolfie! — Ledwie zmrok padnie, król mię do siebie powoła.

(Wracają: książę Jan, lord sędzia, oficerowie i służba).

Lord sędzia. Dżona Falstafa z jego towarzystwem

Wnet odprowadźcie mi stąd do więzienia!

Falstaf. Milordzie! milordzie...

Lord sędzia. Nie czas jest teraz, wysłucham go wkrótce.

Dalejże z nimi!

Pistol. „*Si fortuna me tormenta, spero me contenta*“.

(Falstaf, Płytek, Pistol, Bardolf, giermek, wychodzą pod strażą).

Książę Jan. Ze strony króla szlachetnie i pięknie,
Że powziął zamiar swych przeszłych spółników

Użyć korzystnie i nie chce zostawić
Bez opatrzenia. Oddalił ich teraz,
By do rozsądku i przyzwoitości
W czynach i słowach nawykli w wygnaniu.

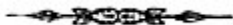
Lord sędzia. Nastąpi to pewnie.

Książę Jan. Czy król już zwołał parlament, milordzie?

Lord sędzia. Tak, mości książę.

Książę Jan. Stawiłbym zakład, że nim rok upłynie,
Nie jednym czynem broń nasza zasłynie
Na brzegach Francyi. Jakiś ptaszek śpiewał
Przy mnie tę piosnkę — i król się nie gniewał.
Spieszmy na zamek!

(Wychodzą).



EPILOG DO WIDZÓW

przez jednego z tancerzy.

Naprzód moja obawa, potem hołd, nakoniec słów kilka. Obawiam się waszej niełaski, hołd jest moim, obowiązkiem, a w kilku słowach chce was prosić o przebaczenie. Jeżeli oczekujecie odemnie próśb wymownych, zginąłem, gdyż to, co mam powiedzieć jest mojego pomysłu, a to cobym powinien powiedzieć,

zapewne zostanie przezemnie przekreconem. Lecz przystąpmy odważnie do rzeczy! Wiedźcie więc — jak to już wiecie — że ostatnią razą, po skończeniu sztuki, która się wam nie podobała, prosiłem was z tego miejsca o pobłażanie i przyrzekałem rychłą poprawę. Mówiąc prawdę, liczyłem sobie wtedy, że uiszczę się przed wami z danego słowa, w niniejszej sztuce. Jeżeli i ona jednak, podobnie jak źle obmyślana kupiecka rachuba, zawiodła, tom ja zniszczony przedsiębiorca, a wy, moi szlachetni wierzyciele, jesteście spółnikami straty. Podług przyrzeczenia stawię się dziś w naznaczonym czasie i miejscu, oddając się zupełnie na waszą łaskę. Spuśćcie mi cokolwiek, ja wam cokolwiek wypłacę, a reszta podług zwyczaju większej części dłużników, niechaj się kończy na niepoliczonych oświadczeniach i obietnicach.

Ale wymową nie skłonię was zapewne do darowania mi długu: więc może mi rozkażecie, abym brak jej zastąpił nogami? Byłby to w rzeczy samej bardzo lekki sposób: tańcować za długi! Z tem wszystkiem czuło sumienie nakazuje nie opuszczać żadnego rodzaju zadośćuczynienia: i jam gotów!

Wszystkie obecne panie już mi przebaczyły. Jeśli nie przebaczą panowie, więc nie zgadzają, się chyba z paniami, czego w podobnem zgromadzeniu dotąd nie widziano.

Jeszcze proszę was, o dwa słowa. Jeśliście nie zbyt odstręчени widokiem podżyłej tuszy, pokorny nasz autor ma zamiar przedłużenia swojej historyi i roli sir

Dżona: Falstaf uśmiesz was jeszcze za pośrednictwem pięknej Katarzyny francuskiej i umrze, o ile mi jest wiadomo, ze zbytku potów, jeśli nie zabiliście go już waszą niełaską, bo biedny Oldcastle umarł jak męczennik — a nie był to tenże sam człowiek, co Falstaf.

Krasomówstwo moje ustaje. Gdy ustaną nogi, będę musiał uklęknąć i życzyć wam dobrej nocy. Klękam więc przed wami, lecz w rzeczy samej klękam dla pomodlenia się za królowę!

K O N I E C.

Objaśnienia



Tekst jest [własnością publiczną](#) (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: [William Shakespeare](#) i tłumacza: [Placyd Jankowski](#).

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)^[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: [Król Henryk IV. Część druga - całość](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)^[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy.

[Przyłącz się do nas!](#)^[3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)^[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Ankry
- Wieralee
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

1. [↑](https://pl.wikisource.org) <https://pl.wikisource.org>

2. [↑](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl) <http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl>

3. [↑](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kraki) https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kraki

4. [↑](#)

<http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium>